

K. Czeremosz.



WARSZAWA.

WARSZAWA.
W DRUKARNI „GAZETY HANDLOWEJ“
ulica Mazowiecka № 6.

—
1884.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 1 Мая 1884 года.

Zegar wydzwonił trzecią godzinę. Odgłos ten w handlu „pod Orłem“, mieszczącym się w szarej kamienicy, pobudził wszystkich do większej czynności i szybszej usługi.

Od lat dziesięciu z ostatniem wydzwonieniem zegara, otwierały się duże, oszklone, zieloną firanką osłonięte drzwi i wychodził z nich pryncypał, by po przejrzeniu najdrobniejszych szczegółów, udać się do swego skromnego, na przedmieściu położonego dworku.

Pryncypał ów nie przedstawiał nic, coby mogło nęcić wzrok do piękna przyzwyczajony, lub ujmować delikatnością rysów, szlachetnością postaci. Był on silny, muskularny o wyrazistej i miłej, lecz wcale nie klasycznej twarzy, której jedyną ozdobą były tylko czarne oczy, małe wprawdzie, lecz o rozumnem i głębokiem spojrzeniu.

Pan Henryk Starża był jedynym przedstawicielem znanej i bogatej firmy. Odkąd ludzie zapamiętać mogli, firma ta rosła i wzmacniała się pod skrzydłami dumnego króla ptaków, a panowie jej, mało komu ustępowali placu w dziedzinie handlu i między bogatymi bankierami.

Obecny pan firmy był ukochanym jedynakiem w domu rodziców. W dwudziestym roku życia, równie w interesach handlowych jak dla rozpatrzenia się po świecie, wysłany został za granicę.

Było to w owych czasach, gdy gorący obrońca praw

robotników, Lassalle, pobudzał masy do nowego życia, pchał je na nowe tory.

Początkowy rok podróży zmieniał się w lata a o młodym pryncypale nie słyszeć nie było. Rodzice pomarli nieoczekawszy się syna, głuchego na wszelkie wezwania do powrotu. Lecz i to nieprzywołało spadkobiercy, lata za latami upływały, handel szedł może mniej czynnie, ale zawsze uczciwie pod ręką najpierwszego buchaltera, rówieśnika i przyjaciela Henryka w osobie Stanisława Szadana. Dziad jego i ojciec tę samą godność piastowali, od stu lat przeszło w tym samym na pół ciemnym sklepie siadując, w tej samej niemal księdze rozchody i dochody handlowe zapisywali. Stanisław z wykształconym umysłem, łączył dziwną bystrość i trafne poglądy na istotę handlu — nieposzlakowanej uczciwości, już przy końcu życia starego Starzy sam dźwigał cały ciężar interesów. Wzywając kilkakrotnie a zawsze napróżno swego młodego pryncypała zwątpił nareszcie o jego powrocie pod dach ojczysty, gdy po dziesięciu latach nieobecności a pięciu śmierci ojca przybył tak dawno oczekiwany.

Stanisław znalazł w Henryku męża o silnej woli i niezłomnym hartie ducha, znoszącego równie stoicznie niewygody fizyczne jak pociski losu; czynnego bezustannie z wytrwałością człowieka mającego w życiu cel wyraźny a ukończony. Celem tym u Henryka było przyłożenie się wedle możliwości do ekonomicznego podniesienia kraju a szczególnie dobrobytu ludowego.

Handlem swoim jako źródłem dochodów energicznie się zajął — co mu nieprzeszkodziło bynajmniej w natychmiastowym rozpoczęciu innej, mniej egoistycznej działalności. Najprzód kupił wieś i założył w niej fabrykę tektury do krycia dachów. Dojeżdżał tam co tydzień. I w tej chwili szedł szybkim krokiem do domu, by po skromnym obiedzie wsiąść na kolej i o północy stanawszy na miejscu wziąć się bez odpoczynku do pracy.

Dom do którego zmierzał p. Starza była to skromna

jednopiętrowa willa, odznaczająca się tylko nadzwyczajną czystością.

Na wpół ukryta w głębi ogrodu wśród starych drzew i kwiatowych kłębów, była ustroniem cichem, przypominającym wieś, ów raj upragniony do którego wszyscy mieszkańcy miast wzdychają. Systematyczny porządek i drobnostkowa prawie czystość odznaczały wnętrze domu.

Duża sien z dębową podłogą, szerokie schody ciemno pokostowane, różnokolorowe szkła we drzwiach wchodowych, wszystko lśniło się czystością i świadczyło o pilnej gospodarnej ręce. W sali jadalnej do której wszedł pan Starża podłoga błyszczała jak zwierciadło, a śnieżnej białości obrus i dymiąca waza zapraszały do zajęcia miejsca. Lecz prócz tej wyszukanej czystości nic więcej nie uderzało oka; wysokie krzesła pod ścianą, duży stół na środku i od kilkudziesięciu lat pewnie w usługach rodziny zostający kredens, oto wszystkie meble tego dużego, o trzech oknach pokoju.

Osobą utrzymującą z takim rygorem porządek, oraz prowadzącą całe gospodarstwo, była owdowiała siostra Starży, od lat sześciu t. j. od dnia jego powrotu mieszkająca przy nim.

Michalina Gocka bardzo mało miała podobieństwa do brata, od którego o lat cztery była młodsza. Wysokiego wzrostu pełnych kształtów, o twarzy podłużnej lekkim rumieńcem oblanej, o wielkich czarnych oczach, była w całym tego słowa znaczeniu powabną kobietą i gdyby nie dumne spojrzenie i surowy rys koło ust, nie otwierających się prawie nigdy do uśmiechu, robiłaby nader sympatyczne wrażenie.

Zamknięcie w sobie cechowało dumną kobietę, a jakiegokolwiek uczucia rozgrywały się w jej sercu, nigdy nie wystąpiły one na białą i jak marmur nieruchomą twarz. Z bogatego domu, wychowana w dostatkach, wiedziała, że niewiele dostanie bo cały majątek ojciec przeznaczył bratu, w wyborze męża więc nie radziła się serca, lecz stosunków majątkowych. Zrobiła tak zwaną dobrą partję, lecz wkrótce pokaza-

ło się, że tylko pozornie; mąż jej zbankrutowawszy odebrał sobie życie, zostawiając ją z dwojgiem małych dzieci. Brat zaraz po powrocie wydzielił jej posag jaki powinna była otrzymać, co już stanowiło piękną sumę; złożył tę kwotę w banku; a synów jej własnym kosztem kształcił w szkole handlowej.

Mając wiele gustu i zamiłowanie do rzeczy pięknych, Michalina chętnieby zaprowadziła nowoczesny wykwintny zbytek w starym ojca domu, lecz sprzeciwił się temu Henryk.

— Sprzętów, rzekł których moi ojcowie używali, a które swoją trwałością pokazują jak są dobre i ja niewyrzucę, a jak długo handel w naszym kraju leży w powijakach i tylko obcy nim się tuczą, nie godzi się nam otaczać zbytkiem. Trzeba na co innego obrócić pieniądz, który krajowi i mnie korzystać przynieść może.

I tak też pozostało, wszystko było trwałe mocne ale proste i niemodne.

— Michalino, przerwał dotychczasową ciszę przy obiedzie pan domu, dostałem dziś dwa listy, które może odmienią cokolwiek nasze dotychczasowe życie. Wiesz jak się śpieszę, nie mam więc czasu szczegółowo ci wszystko tłumaczyć. Masz listy przeczytaj sama. Odpowiedziałem już na nie i proszę przygotuj pokoje dla młodej dziewczyny.

Przeciw zwyczajowi kobiecemu, wybuchającemu zaraz pytaniami, zdziwieniem lub wyrzutami, przyjęła pani Michalina milczeniem te słowa i niespodziewaną wiadomość. Znała stanowczość brata nieznoszącą oporu, milczała więc, ale zacisnięte usta i chwilowy gniewny błysk oka, złe przyjęcie rokowały równie listom jak i nieproszonemu gościowi.

W jednym z małych miasteczek na granicy Szlązka, zgromadzona młodzież obradowała żywo nad sposobami poprawienia losu robotników i całego proletaryatu. Zgromadzenie składało się przeważnie z nauczycieli ludowych, przełożo-

nych fabryk, kilku kupców i właścicieli. Nagle wszystkie spory, niedokończone mowy, głośnie zapytania i odpowiedzi ucichły, na podniesieniu stanął znany nam już trochę Henryk Starża.

Silny i dźwięczny głos jego brzmiał donośnie i nosił na sobie piętno głębokich przekonań mówcy. Zimne wyrażenie kupca, łączyło się harmonijnie z gorącą miłością kraju i biednych ludzi. Mówił o przeciążeniu podatkami włościan i robotników w Austrii, o równoczesnej potrzebie oświaty i dobrobytu, goracemi słowy zachęcał nauczycieli ludowych do pracy w tym kierunku, a innym wskazywał drogę na której by mogli legalnie zdobywać ulgi dla cierpiących.

Mowę całą wygłoszoną wśród doskonałej ciszy zakończyły nieskończone okrzyki i entuzjastyczne oklaski, wszyscy cisnęli się, by uściskać rękę wymownego rzecznika, wszyscy z tak zwykłym u nas sangwinizmem uważali już sprawę za przeprowadzoną z chwałą ukończoną i nie ledwie, że jej owoców oczekiwali.

Pan Starża, z widoczną przyjemnością i odszczególnieniem rozmawiał z wysokim, atletycznej budowy, zaledwie dwudziestokilkoletnim młodym człowiekiem. Był to jeden z owych parjasów społeczeństwa naszego, z lekceważeniem przyjmowany, a z radością żegnany jednym słowem nauczyciel ludowy, mający od lat kilku zaledwie 250 złr. rocznie, jak to mówią za mało do życia, za dużo do śmierci głodowej. Człowiek taki, obcujący tylko z ludem znudzony jednostajnością swego życia i zabijany moralnie przez brak książek i pism, których nie ma za co kupić, a nierzadko odwiedzający karczmę, człowiek taki nie może mieć tej ogłady towarzyskiej, jakiej od równych nam żądamy. Ten jednak, wyjątkowo nie obciążony jeszcze ani żoną, ani rodziną, nie stracił energii, a śmiałe rysy i inteligentny wyraz twarzy mówiły, iż był to materyał na dzielnego przedstawiciela i doradcę tego ludu, wśród którego ciągle się obracał.

— Więc pan przebywasz stale we wschodniej Galicyi, ciągnął dalej rozmowę Starża — jakież tam usposobienie, zadowolniony pan jesteś ze swych uczniów i położenia?

— Pytanie to — odrzekł młody człowiek, miarkując głos donośniejszy niż potrzeba i ukrywając pomieszanie pod udaniem lekceważeniem form towarzyskich, o których miał bardzo niejasne pojęcie — pytanie to da się tylko wytłomaczyć pańską zupełną nieznanomością tamtejszych stosunków. Usposobienie ludu? Jakież może być tam, gdzie pięć do sześciu familii żydowskich rozsiadło się w karczmie i na gruntach niegdyś chłopskich, wysysając z wieśniaka nietylko jego majątek ale krew niemal. A zadowolenie moje z uczniów? czy wiesz pan, że zaledwie trzech na pięćdziesięciu ma tabliczki, rysiki i czytanki. Zkądże na to weźmie biedny ojciec, zagrożony sekwestracją z jednej strony żyda, z drugiej banku włościańskiego, a często gęsto na opłacenie podatku sprzedający ostatnią krowę? Z tego łatwo się pan domyślisz jak nauka idzie i jak moi uczniowie korzystają. Co zaś do mego położenia, o tem wolę niewspominać, dość gdy panu powiem że żadnej gazety nie mam, gdyż mi nie starczy na prenumeratę.

Przejęcie się z jakim mówił wskazywały, iż w tym człowieku głęboko tkwi obok miłości kraju gorycz i zniechęcenie do stosunków obecnych, i że gdyby nie walczył z nędzą a miał otwarte pole do kształcenia się, mógłby większe usługi oddać społeczeństwu.

— Smutny obraz stawiasz mi pan przed oczyma, i ja znam cokolwiek stosunki tamtejsze, lecz przed kilku laty gdy tam bawił, nie były jeszcze w tak opłakanym stanie.

— Zapewne byłeś pan przed założeniem banku włościańskiego, banki takie nie są dla naszego chłopca; niema on pojęcia o rzetelnem w czasie oznaczonym zapłaceniu raty — przytem zaciągniętą pożyczkę płaci bank swojemi akcyami, które nigdy nie mają nominalnej wartości. Przy pożyczczeniu odciągają sobie zaraz pierwszą ratę i procenta za pierwsze

półrocze, dolicz pan do tego kosztu komisji zjeżdżającej przedtem na oglądanie wartości gruntu, stemple, zapłacenie adwokata, a zobaczysz, że z owej wielkiej pożyczki mało co mu zostanie, a z tego co zostanie nie obróci nic na ulepszenie gospodarstwa lub zapłacenie długów, lecz rozejdzie się, jak zwykle u ludzi ciemnych a nieogłędnych, nie wiedzieć kiedy i gdzie. Wkrótce czas oznaczony na zapłacenie drugiej raty nadchodzi, chłop myśli, że to sprawa z żydem, że prośbą, postąpieniem procentu uzyska co, tymczasem sekwestracja zjeżdża, grunt i chatę sprzedają i cała rodzina złożona czasem z 8 do 9 głów, zostaje bez niczego i już gotowy proletaryat. Przejrzyj pan rządową „Gazetę Lwowską“, a zobaczysz na 20 licytacji przynajmniej 19 gruntów chłopskich.

— Wszystko to co pan mówisz tembardziej nas wzajemnie wiązać powinno, dotąd byliśmy rozstrzelonem ogniskiem, my wszyscy prawdziwi przyjaciele ludu, patrzący trzeźwo w przyszłość i widzący jasno materiały do rozruchów i krwawego pochodów ciemnych, zgłodniałych mas. Pora nam skupić się, utworzyć silną falangę, któraby mogła stawić opór zarówno bezrozumnym żądaniom klas roboczych jaki wyzyskiwaniu ich przez kapitalistów. Pracujmy odtąd razem i uczmy się wzajemnie. Czy znasz pan Kraków?

— Nie miałem na to ani pieniędzy ani czasu, odpowiedział nauczyciel.

— Mam obecnie maj, na wakacje zapraszam pana do siebie, a tuzę, że nie jedna z historycznych pamiątek zajmie pana; również moje książki i pisma oddam do pańskiego rozporządzenia.

Pani Michalina siedziała zamysłona w swoim pokoju, a przed nią na stole leżały rozłożone listy, było ich dwa, jeden pisany niewprawną prawie dziecienną jeszcze ręką, drugi zamasztyłym charakterem. Pierwszy brzmiał:

Szanowny Panie!

Dziś rok jak drogi mój ojciec umarł. Przed zgonem kazał mi przyrzec, iż w rocznicę jego śmierci, list załączony przysłę panu; przytem w karteczce opieczętowanej a do mnie adresowanej, którą również dopiero w rocznicę śmierci miałam otworzyć w krótkości powtarza mi treść listu Panu przeznaczonego. Wierna jego rozkazom posyłam go Panu, z mojej strony dołączając przyrzeczenie stosowania się do rozporządzeń pańskich.

Dom mojej ciotki stał się dla mnie bardzo przykrym, nie dla tego, żeby złą była dla mnie, przeciwnie stara się mnie zabawić, bierze mnie do teatru, na przechadzki i t. d. lecz chce mnie wydać za swego syna, a ja Ludwika lubię tylko jak brata.

Obawiam się, że bardzo złe wrażenie zrobię na panu, bo i ciotka Marya mówi, że do mnie trzeba się dopiero przyzwyczaić, wolę więc panu opisać jak wyglądam, bym potem nie czytała niemilego rozczarowania na twarzy Pana, jak już mi się tyle razy zdarzyło z innymi ludźmi. Otóż jestem bardzo małą i nieładną, ale mam jeszcze trzecią wadę do której wolałabym się nieprzyznać, gdyby nie wieści, że Pan jesteś uczonym — domyślasz się Pan co to jest — oto bardzo mało co umiem. To też mądrych ludzi boję się jak ognia, a Ludwika mimo jego różnych pretensyi dla tego lubię, że nigdy ze mną żadnych uczonych rozmów nie zaczynał. Boję się, jak Pan przyjmiesz mój list, co powiesz na pismo nieprawne, na błędy, które pewnie w niem się znajdują, lecz postanowiłam być szczerą właśnie teraz. bo wiem że w obecności Pana nie zdobyłabym się na żadne tłumaczenia.

Obawiam się, byś Pan za mą nieświadomość nie obwinił mego kochanego ojca; starał on się bardzo o me wykształcenie, ale widzi Pan, wszystkie nauki były tak nie do pojęcia trudne. Często obecnie dokucza mi moje nieuctwo, ale już przepadło, a teraz wypowiadawszy się, jestem zadowolniona, że Pan mnie znasz taką jaką jestem rzeczywiście. Ale

prawda, ja tak wszystko na pewno biorę, a Pan może mnie nawet nie zechcesz przyjąć. Zapewniam Pana, że Mu nie będę wielkim ciężarem, jem bardzo mało, rzeczy mam mnóstwo nasprawianych, zresztą procenta od kapitału, który mi mój Ojczulek zostawił, wystarczą na opędzenie wszystkich kosztów mego stroju. — Oczekując z niepokojem odpowiedzi zostaję z uszanowaniem.

Stanisława Zborska.

Drugi list zawierał prośbę ojca Stasi, przyjaciela Starży z lat młodzieńczych, aby opiekował się córką jego, której żywy a nieugięty charakter napęłniał go trwogą.

— Co za myśl, szepnęła do siebie pani Gocka, co za myśl, w dom swój, w dom bezżennego człowieka, brać młodą siedemnastoletnią dziewczynę! A dla mnie co za kłopot! Taką próżną a pieszczoną lalkę cierpieć zawsze obok siebie, Musi to być żadne pochwął, podobania się, cały dom poruszy i spokój, ten spokój, który mi jest tak drogim, zatruje lub zburzy. Nie, na to przystać nie mogę. Lada chwila nadjedzie, a pierwsze słowo, będzie o tych nieszczęsnych listach, cóż mu odpowiem? Że się zgadzam? Otóż i on, teraz już niema czasu na żadne namysły.

— Cóż Michalino, zawołał pan domu wchodząc do pokoju, gdzie pani Gocka zajęta szyciem, siedziała pod jednym z okien wychodzących na ogród, a na głos brata zrywając się i udając bardzo dobrze zdziwienie i radość — przygotowałeś pokoje dla małej Stasi Zborskiej? Lada chwila dzieciak nadjedzie, bo napisałem jej, by niezwłocznie przybywała.

— Dzieciak? Cóż za wyrażenie Henryku? Wszakże to już panna, nie czytałeś, że ma lat siedemnaście?

— Niepomyślałem o tem, rzekł zabierając miejsce obok pani Michaliny, wszak pisze sama, że jest tak małą, a jej styl i pismo tak są dziecinne, nie odchodź, zawołał widząc, że wstaje, by przygotować bratu herbatę — zaczekam do zwykłej godziny, a tymczasem wolę z tobą pomówić. — Miałem bardzo nużącą podróż Michalino.

— Biedny — rzekła z niezwykle współczuciem zadowolniona że odwlecze nieznosną o obcym przybyszu rozmowę, jakkolwiek kochała brata, tak była przyzwyczajona do jego częstych wycieczek, że zwykle ani się smuciła odjazdem ani zbyt troskała nieobecnością. Biedny Henryku, za nadto bo się trudzisz, za dużo pracujesz.

— Co te narzekania pomogą. Ale, ale nie odpowiedziałś mi jeszcze, cóż, czytałaś listy?

— Czytałam.

— Biedne stworzenie, tak młode a tak już opuszczone, szczerze pragnę zastąpić jej ojca.

— Czy to już tak pewne? Zapytała nieśmiało,

— Co?

— Że do nas przyjedzie.

— Wszak ci mówiłem.

— Ale czyż koniecznie ma być u nas?

— Jakto, czyś niesłyszała, że mój pisał, by przyjeżdżała? zawołał patrząc z pewnem zdziwieniem na siostrę.

— Słyszałam, lecz daruj, i ja tu mam cośkolwiek do powiedzenia, wszakże ciężar jej obecności spada przeważnie na mnie, a ty nieporadziwszy się mnie ani słowem, dajesz przyrzeczenie nie zupełnie prawomocne.

— Tak byłem przekonany o szlachetności i dobrem sercu mojej siostry, iż uważałem to za zbyteczne — lecz mów proszę, co masz przeciw temu?

— Najpierw i przede wszystkim, że to niewypada.

— Jakto niewypada? w domu gdzie się znajduje owdowiała doświadczona kobieta i stary 38 letni kawaler?

— Nie jestem znowu tak starą jak chcesz mnie przedstawić — a potem ta dziewczyna mnie niepokoi, jej przybycie wywoła rozmaite kłopoty, zamieszanie zechce to się bawić, bywać, jednym słowem niemiła jest dla mnie sama myśl o pobycie jej tutaj.

— Michalino, gdyby syn twój napisał, że tam gdzie się

znajduje dłużej pozostać nie może i prosiłby o dach gościnny, czybyś mu także dała odpowiedź podobną?

— Henryku co mówisz, wszakże to dzieci moje, to krew nasza.

— Czyż dla tego, że ona jest obcą choć równie opuszczoną sierotą, mam zamknąć drzwi moje przed nią, mając dla niej obowiązki przyjaźni. Wiem że z początku trudno nam będzie przywyknąć do obcej twarzy i wiecznie widzieć ją w pośród nas, nieprzeczę, że chwilowo może będzie zwichnięty nasz porządek domowy, lecz trudno w tym razie odmówić. Przyjmę ją więc i spełnię życzenia jej ojca, a ty droga Michalino, zajmij się, jak cię już prosiłem, przygotowaniem dla niej pokoju. Nic zmieniać nie trzeba, te same proste sprzęty co nam służą i jej muszą wystarczyć, i tak o nic nie prosi, tylko o opiekę.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Nigdy nie zapomnę tej dziewczynie—ozwała się wreszcie pani Michalina, że z jej powodu pierwszy raz była między nami sprzeczka — i że przeniosłeś ją nademnie swą siostrę — dodała w myśli.

Maj miał się ku schyłkowi, gdy przed cichym znanym nam domem stanęła dorożka, a z niej wyskoczyła drobna postać dziewczynki i oglądając się z ciekawością zaczęła dzwonić do bramy.

— Zaraz, zaraz, jak to widać, że młode rączki szarpia za dzwonek, mruczał Jan otwierając bramę, oczekiwaliśmy panienkę, proszę tędy, proszę. Czy dorożka zapłacona, a rzeczy żadnych więcej nie ma panienka? pytał ze zdziwieniem, patrząc na małą elegancką torebkę w rękach dziewczynki.

— Ale gdzie tam, odpowiedziała z uśmiechem, mam mnóstwo pakunków, które później nadjadą, przepraszam za tak mocne dzwonienie, ale tak cicho wszędzie było, myślałam że dom pusty.

— Nic nie szkodzi, niema panienka za co przepraszać, przecie każdy ma wyrozumienie dla młodości. Jestem Jan do usług panienki, służący tego domu, czy mam panią zaprowadzić do jej pokoju?

Na przyzwalające skinienie, i zaniepokojony wyraz przyjezdnej nie umiejącej wytłomaczyć sobie, że nikt jej prócz służącego nie wita, rzekł:

— Niech panienka się niedziwi, że tu tak pusto, u nas trzeba się do tego przyzwyczaić; pan jeszcze w sklepie, a pani zajęta gospodarstwem, każdy ma wyznaczoną sobie pracę, wszystko idzie jak w zegarku.

— Wszystko idzie jak w zegarku, szepnęło dziewczę, a wyraz niechęci i rozczarowania oblał twarzyczkę, lecz o wiele się powiększył, gdy otworzyła drzwi do przeznaczonych sobie pokoi. Żaden dywan nie pokrywał lśniącej podłogi, kilka krzeseł, bardzo skromne biurko i stoliczek do roboty całe stanowiły umeblowanie. W drugim, mniejszym pokoju, stało małe łóżeczko śnieżną zasłane pościelą, i kilka dużych staroświeckich szaf. Młode dziewczę stało na środku i z komicznym wyrazem gniewu i zdziwienia rozglądało się w koło. Niestety! najbardziej wzorowa czystość nie mogła zastąpić elegancyi i komfortu.

Mimowoli nasunęło się jej porównanie przeszłości z teraźniejszością. Ach co za różnica z jej ślicznym pokoikiem u ciotki Maryi, zasłanym grubemi dywanami, zapełnionym miękim atłasem krytymi mebelkami i mnóstwem kwiatów! Lecz cóż robić, za to nikt nie będzie jej namawiał do pójścia za tego, kogo nie chce i nikt nie będzie jej ciskał w oczy zarzutu niewdzięczności. Zresztą widok z okien bardzo ładny, a skoro pan Starża będzie dla niej dobry, wszystko się lepiej wyda.

Jakoż rzeczywiście to kwakierskie mieszkanie nie zgadzało się z wypieszczoną postacią dziewczęcia. Drobną, pełną niewymuszonego wdzięku w każdym swym szybkim po-

ruszeniu, przypominała małego z gniazdka wypuszczonego ptaszka.

Ciemne, gęste, wijące się włosy, poruszały się za każdym poruszeniem kształtnej główki, twarz śniadą krasił rumieniec, a usta jak wisienki, co chwila otwierały się do wesołego uśmiechu. Zapominało się o nieregularności rysów na widok tej wyrazistej twarzyczki oddającej wiernie każde wrażenie chociaż ładną nie można było jej nazwać pociągającą jednak wszystkich od pierwszego wejrzenia swą wiośnianą swobodą; urokiem młodości i tym wdziękiem naturalnym niewyuczonym a mimo to tak rzadkim. Jej usposobienie zawsze i wszędzie jasne strony chwytające pogodziło ją w krótkie z tem co ją tu tak niemile uderzyło — to też zupełnie już była swobodną i zadowoloną, gdy się drzwi otworzyły i majestatyczna pani domu stanęła przed nią.

— Panna Stanisława wybaczy, że teraz dopiero witam ją w naszym domu, lecz u nas każdy ma wyznaczoną sobie pracę, którą wypełniać musi. Byłam właśnie zajęta odbieraniem bielizny, a tak ważnej rzeczy nie można ręką sług poruczać. Z serdecznem powitaniem życzę, żeby nasz cichy prawie klasztorny dom, nie znudził zbyt prędko tak młodą zapewne lubiącą się bawić panienkę.

— Zbyt łaskawą jesteś pani, pragnę jak najmniej zajmować miejsca i nigdy w niczem pani nie przeszkadzać. Pan Stasza pisał mi w swoim liście, jak serdecznie panią kocha i jak pani jest dobrą, to też z całej duszy pragnę pozyskać pani przyjaźń.

Pani Michalina mile pogłaskana uwagą brata tam gdzie go o bezwzględność obwinięła, daleką była jednak od przebaczenia młodej dziewczynie jej nieproszonego przybycia.

— Pozwól mi Pani dodać po krótkiem wachaniu ujmując dużą białą rękę wyniosłej kobiety swemi drobnemi paluszkami — prosić ją zaraz na wstępie o łaskę, nazywaj mnie pani Stasią zawsze tak dotąd przemawiano do mnie, zbyt obcą czułabym się gdyby mnie zaczęto tytułować panną Stanisławą.

— Zgadzam się na to — odparła oschle pani Michalina, gdyż swoboda ta przy pierwszym widzeniu, bardzo jej się niepodobała. Zgadzam się na to, zwłaszcza że w codziennem życiu podobne tytuły nie są mile. A teraz moja Stasiu chodź na obiad widzę mego brata nadchodzącego, za chwilę będzie w sali jadalnej, musimy go tam uprzedzić.

— Czy nie trzeba się przebrać?

— Już nie ma czasu, zresztą wcale dobrze wyglądasz.

Rzeczywiście i po najdłuższym namyśle nie mogła by się lepiej ubrać młoda dziewczyna, szara lekka sukienka z półkrótkimi rękawami, cokolwiek wycięta z przodu, ukazywała okrągłą szyjkę i drobne dziecinne rączki, a różowe wstążki powiewające przy rękawach i u gorsu, śliczny stanowiły kontrast ze śniadą twarzą. W każdej innej chwili byłaby Stasia długiem spojrzeniem poradziła się zwierciadła, lecz teraz była tak zafrasowaną oziębłą grzecznością pani Michaliny, jak spodziewanem ujrzeniem jej brata, że ani przez myśl jej to nie przyszło. Ze spuszczoną główką i bijącym sercem poszła więc za swą przewodniczką.

Odetchnęła zastawszy pokój próżnym, na stole tylko trzy błyszczące nakrycia, lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i za nim pan Henryk ją spostrzegł utkwiała w nim swe wielkie ciekawe oczy.^d

— Jaki brzydki i starszy nawet niż sobie przedstawiałam pomyślała.

— Panna Stanisława Zborska — rzekła uroczyście pani Michalina prowadząc ją przed pana domu.

Ponieważ Stasia miała spuszczone oczy, nie spostrzegła więc pełnego dobroci i współczucia wzroku Starzy, tylko czuła przydłuższe milczenie, oblewające jej twarz coraz żywszym rumieńcem i coraz większem zakłopotaniem ją przejmujące.

— Szukałem w twarzy pani, rysów jej ojca — ozwał się wreszcie dźwięczny przyciszony głos, lecz nie mogę ich dopatrzeć; ta drobna postać niczem nie przypomina mego

pocziwego Jasia — witam panią w mym domu i szczerze pragnę, byś go za swój własny uważała.

Na pierwsze dźwięki tego sympatycznego głosu podniosła główkę, a oddając serdeczny uścisk ręki szepnęła wzruszona.

— Dziękuję Panu.

Starża mimo całej swojej mądrości i dążeń do uszczęśliwienia ludzkości, bardzo mało znał młode dziewczęta. Od dwudziestego roku żyjąc tylko dla swej ukochanej idei pozostałe chwile zapełniały surową, nieustannej uwagi wymagającą pracą, nie miał też czasu studyować kobiety. Była to czysta, zdrowa, żadną jeszcze namiętnością nie tknięta natura. Sądził a raczej zapewne uważał, że wszystkie kobiety są podobne do jego siostry; milczące, chłodne, zawsze czynne, pełne spokoju i poważnego wdzięku. Zresztą uważał je za istoty słabsze, którym na każdym kroku ustępować należało, by nie zadrasnąć czem ich delikatności lub nierazić czułości. Była to mimowiednie na wskrós rycerska natura jakaś pozostałość po przodkach, owych mieszczanach Kazimierzowych chwytających zarówno miecz dla wypędzenia wroga, jak kredkę by z przezornością ciężko pracującego, nie uронić nic ze zdobytych majątków. Wyrozumiały dla słabości, ustępował jej właśnie przez poczucie swej siły i hartu duszy. To też i teraz widząc młode dziewczę rumieniące się i milczące, osądził je łagodnem spokojnem stworzeniem wystarczającym sobie jak jego siostra.

Pomału Stasia śmiała się jednak, pani Michaliny chłodna twarz obudzała w niej ciągle pewien trwożliwy szacunek, ale do gospodarza domu odrazu czuła się pociągniętą jego naturalnem, przyjacielskiem zachowaniem się i od pierwszej chwili ze zdziwieniem spostrzegła, że go za obcego przestała uważać. Obiad jednak przeszedł w milczeniu, które Starża napróżno starał się przerwać. Zimna powaga pani Gockiej paraliżowała dziecinną żywość Stasi. Przy herbacie o jedną więcej osobę powiększyło się małe towarzystwo był

to pan Ignacy Szaden. Codziennie po zamknięciu sklepu udawał się on do willi i razem z jej właścicielem spędzał wszystkie wieczory. Potrafił on rozrzucać Stasię, piękna jego twarz prawie klasycznych rysów, uśmiechem szczerym ożywiona podobała jej się niezmiernie, a pełna elegancyi postać odróżniała go bardzo korzystnie, od ogromnej, silnej lecz niezbyt kształtnej osoby pana domu. Brano często Ignacego za pryncypała i nie jeden dziwił się w cichości jak może podwładny mieć o tyle więcej dystynkcyi i powierzchownej ogłady, od człowieka, na którego majątek wieki się składały. Prawda, że inaczej sądzono, gdy niezgrabna postać pana domu ożywiła się w zajmującej go rozmowie, a oczy zabłyśły zapalem, z ust zaś dobranemi słowy wychodziły zdania pełne nieskończonej dobroci i współczucia — dla ludzi. Wówczas poznawano, iż piękny umysł wyższy jest nad wszelkie piękności cielesne — i że siła przekonań i szlachetne dążności Henryka dawały mu przewagę nad wszystkimi otaczającymi. To też poddawano mu się bez oporu, podwładni widzieli w nim prawdziwego pana, najoporniejsi słuchali, a przyjaciele, których miał mało, lecz zupełnie oddanych sobie, jakiegokolwiek były jego zamiary, zawsze mu powodzenie rokowali. Lecz Stasia tego niezrozumiała, piękna i śmiała postać Ignacego pociągała ją mimowoli, dla Henryka brzydota i niezgrabności czuła pełne lekceważenia współczucie.

Mimo wszystkich wrażeń doznanych dzień ten wydał jej się bardzo długim, nikt się szczególnie nią nie zajmował, a do tego była przyzwyczajoną nasza mała panienska. Pani Michalina trzymała się od niej chłodno i zdaleka, mężczyźni zaś wkrótce po herbacie wyszli do ogrodu, gdzie nieskończenie długie i nieskończenie nudne jak Stasia w cichości sobie mówiła wiedli rozmowy.

Ciotka Marja, jakkolwiek w ostatnich czasach sądziła, iż na zawsze pozyskała serce i przychyłność swej młodej krewnej, nie była już ową czułą, pełną tkliwej miłości i przyjaźni co na początku swej opieki nad Stasią.

Starła się jednak zaraz, widząc boleść sieroty po śmierci ukochanego ojca, rozerwać ją, zabawić, zatrzeć te bolesne wspomnienia zwłaszcza, że dochody Stasi pozwalały używać wszelkich przyjemności, nie tylko jej samej, lecz wystarczały na pokrycie utrzymania całego domu i często kosztownych zachceń ciotki i kuzynki. Młoda i żywych uczuć dziewczyna dała się w to wciągnąć, i nieprzystając w głębi serca tęsknić za ojcem pomалу osuszyła łzy i coraz chętniej używała nieznanych sobie rozrywek. Nieraz przed wyjazdem do teatru lub na przechadzkę, gdy coś potrafiło strunę wspomnień, gorącemi wybuchała łzami i silną rozpaczą, lecz gdy się wyplakała, znowu owa nieokreślona a pełna niewypowiedzianego uroku nadzieja młodości wracała na jej lica uśmiech, a do duszy spokój. Lecz dziś to opuszczenie, do którego nieprzywykła ten brak rówiesnej istoty, kamieniem przycisnęły wrażliwe dziewczę. To też kładąc się do spoczynku w swoim ze wszelkich ozdób огоłoconym pokoiku, czuła się smutną, a mała poduszeczka mokrą była od łez, zanim sen zamknął jej oczy do łagodnego spoczynku.

Lato było w najpiękniejszym rozkwicie a i nasza Stasia uśmiechnięta i wesoła dawno zapomniała o tęsknocie i łzach pierwszego dnia. Nie zawiodło jej przeczucie: najlepiej i najswobodniej było jej z panem domu, opowiadała mu o swych małych troskach, spowiadała się z dziecinnych życzeń, śmiała się i szczebiotała jakby przed bardzo dawnym znajomym. On słuchał zawsze z jednakową serdecznością; interesował się wszystkimi drobnostkami ją zajmującemi, usuwał jej zmartwienia, spełniał życzenia z uśmiechem. To też nie miała przed nim żadnej tajemnej myśli, w całej jej istocie naiwnej, żywej i ognistej czytał jak w otwartej księdze. Z Ignacym była inną, poważniejszą, bardziej przy nim uważała na siebie, zawsze z równym podziwem patrzyła na jego piękną twarz i głębokie oczy.

Pewnego dnia Stasia będąc w ogrodzie poddawała się ze swobodą dziecka myślom i wrażeniom zawisłym wyłącznie od kapryśnej wyobraźni. To ją zachwycił promień słońca przedzierający się przez liście, znów kwiaty tak wonne i różnobarwne, błękitne niebo, to znów jej uwagę zwróciły na siebie ulubione jej motylki. Rozkoszując się swobodnie słońcem, świeżem powietrzem pomyślała ze współczuciem, że w tak piękny dzień pan Starża siedzi w ciemnym sklepie zajęty nudnymi rachunkami, sortowaniem towarów, lub ważeniem czego? daktyli może, uśmiechnęła się, był to jej ulubiony przysmaczek.

— Czego się pani śmiejesz? — zagadnął głos jej dobrze znajomy. — Spojrzała, przed nią stał pan Starża.

— Co za niespodzianka, pan tutaj? myślałam, że w sklepie i uśmiechałam się na myśl jak pan ważysz daktyle.

— Spójrzysz pani na te wielkie ręce i powiedz czy umiałyby się obchodzić z ważkami? — Nie! ważenie do mnie nie należy.

— Prawda, rzekła patrząc na dużą czerwoną i nie zbyt zgrabną rękę, ręce pana są nieładne a ujmując je i przykładając do swojej dodała; patrz pan jak moja maleńką się wydaje — ale jaka czarna, także niezbyt ładna! Przynajmniej w tem jesteśmy podobni do siebie.

— Pani i ja co za myśl! Raczej tworzymy dwa kontrasty.

— Jak to pan rozumiesz?

— Pani jesteś małym rozpieszczonym dzieckiem, zaś ja...

— Pan wielkoludem, widzę to, widzę. Ale kiedy ja rozpieszczoną jestem, więc żądam posłuszeństwa.

— Dobrze, lecz posłuszeństwo bywa czasami karą.

— Tym razem będę wspaniałomyślną i posłuszeństwo pana będzie dla niego nagrodą.

— Za cóż to?

— Że pan uczciłeś tak piękny dzień i nie siedzisz w ciemnym sklepie.

— Nie byłem tam wcale dzisiaj, bo za godzinę wyjeżdżam.

Wyraz chwilowej niechęci okrył twarzyczkę Stasi — powściągnęła go jednak zaraz, mówiąc, chodź więc pan tę godzinę spędzić w mojej dolince — jest tu niedaleko. A zoczywszy nagle, odchyliła gałęzie żywopłotu — wtedy ja wchodzę, ale tam dalej nie jest tak gęsto, to pan z łatwością się przesuniesz. A co nie ładnie tu? zawołała tryumfująco widząc malujący się podziw na twarzy pana Starzy.

Rzeczywiście był to prześliczny kącik rozległego ogrodu, gładka jakby z strzyżonego aksamitu łąka okolona ze wsząd wyniosłemi drzewami i gęstemi krzakami ożyn i malin, nie pozwalających zajrzeć ciekawym, przedstawiała się jak ogromny dywan, najkunsztowniejszą tkany ręką. W pośrodku pod rozłożystą lipą stała mała kanapka. Lekkie wzniesienie tego miejsca dozwalało widzieć siniejące w oddali Tetry, z ich śnieżystemi wierzchołkami. Musiało to być niegdyś czyjeś ulubione miejsce, gdyż widok ten był umyślnie wycięty, ręką prawdziwego miłośnika natury. Było tu tak spokojnie i cicho, iż przebywającemu zdawać by się mogło, że jest sam jeden w jakiejs zaczarowanej dolinie, pełnej woni kwiatów i śpiewu ptasząt, jakg dyby tu z całej okolicy na śpiew się zbierały.

— Widzi pan, na tej kanapce siadam i patrzę myśląc, co też tam ludzie robią. Czy po tych lasach uwijają się zawsze jeszcze rusałki, a w górach czy zawsze mieszkają podziemne karzełki z ogromnemi brodami strzegące zaklętych skarbów. A gdy mi się znudzi patrzeć, wtedy marzę sobie.

— I o czymże?

— O czasach, kiedy to jeszcze kwiaty mogły kiedy chciały zamieniać się w ludzi. Pan się uśmiechasz? Myślisz że kwiaty nie mają duszy? Oto patrz ta żółta dziewczanna, tak smukła a skromna, to wielka dama, zaklęta księżniczka.

Nawet teraz nie opuściła jej duma, z jaką wzgardą spogląda na biedną, białą konwalijkę, u stóp rosnącą. Ta konwalja to panna młoda, gdy stała już w wieńcu i welonie ślubnym z pochyloną główką przed ołtarzem, niedobra dziewanna, wówczas jeszcze księżniczka i przyboczna dama królowej, mając porozumienie ze złym czarnoksiężnikiem zaklęła ją w ten oto kwiatek. Lecz nawet zły czarodziej uczuł litość nad biedną panną młodą i za karę przemienił księżniczkę w żółtą dziewannę i dla tego żółty kolor jest uosobieniem zazdrości.

Kłęcząca na ziemi, małemi rączkami podnosząc delikatne dzwonki białego kwiatka. Patrzącemu na jej zarumienioną twarzyczkę i drobną całą w bieli postać zdawało się widzieć jeden z owych powróconych do życia kwiatów o których opowiadała. Mimowoli więc zapytał z uśmiechem:

— Jakimże kwiatem byłaś pani, zanim obudziłaś się do życia?

— Ja? tak pragnę być wysoką, a Bóg mnie taką małą stworzył, jest to więc kara za wyniosłość. Musiałam być wielką, wspaniałą i pogardzałam drobnymi. Któż jest wynioślejszy nad jarzębinę? Taka smukła, cieniutka, obwieszona swemi koralami z góry spogląda na wszystkie kwiaty, nawet na mnie. Musiałam być jarzębiną.

— Czy pani często bawisz się podobnemi myślami?

— Bardzo często, czyż to niemiła zabawa? Wierz mi pan, cały ten świat kwiatów, to jakby świat prawdziwy. Są między nimi zazdrośni, są szlachetni i ustępujący, są pragnący ciszy i samotności, są znowu uganiający się za gwarem i zabawami. Patrz pan fijołek, w najciemniejszy kącik skrył się, oto pretensjonalny jaskier jak go wszędzie pełno, jak ciekawie zagląda nawet tam, gdzie go nie chcą i nie lubią ten kwiatek nie ma najmniejszej dumy. Lecz oni wszyscy odnoszą się do swej królowej, nie róży, to arystokracja kwiatów na tron ją wyniosła, lecz lud cały uwielbia i z a swą władczynię uważa białą lilię — i chociaż róża im jaki rozkaz pośle, oni zawsze lilię o potwierdzenie pytają. Lecz lilia jako prawdzi-

wa królowa jest rzadką, a uzurpatorek pełno, dlatego wdzie-
ra się ona coraz bardziej w prawa lilii. Przewiduję smutny
koniec tej walki, dumna biała lilia zniechęciwszy się do swych
poddanych ucieknie od nich w dalekie wdzięczniejsze kraje.

— Henryku i ty tego słuchasz? zabrzmiał głos z za-
drzew z tłumionym uśmiechem. — Widząc żywe zajęcie ma-
łej, jej oczy błyszczące, stanęłam chcąc się dowiedzieć o czem
tak rozprawia. Lecz ani słówka nie zrozumiałam, jestem
przekonaną, że i ty również nic niewiesz, powtórz więc nam
Stasiu, tę twoją uczoną rozprawę o lilii i róży, a może przecież
cóż skorzystamy.

— Pani Gocka! ach Boże jakże ona śmiać się ze mnie
będzie — szepnęła Stasia oddalając się w inną stronę ogrodu.

— Nie pojmuję cię Henryku, zawołała pani Michalina
po odejściu Stasi, dla mnie prawie nigdy nie masz czasu,
a z tym dzieciakiem plotącym niewiedzieć co, takie długie
prowadzisz rozmowy!

— Czy nie pomyślałaś o tem Michalino jak biedne dziecko
przyzwyczajone do ruchu i gwaru musi się u nas nudzić?

— Musiałabym bardzo dużo mieć czasu, aby o tem my-
śleć, niech się czemś zajmie coś robi, a niezawodnie przesta-
nie się nudzić. Ale zapytaj ją o jaką robotę to powie, że sie-
dzenia nie cierpi, że ojciec jej nigdy do tego nie zmuszał, ani
nawet ciotka Marya nie przyzwyczajała. Dzięki Bogu mam
dosyć rąk do pomocy, nie potrzebuję więc jej, ale dla niej sa-
mej pragnęłabym czegoś jej nauczyć. Dałam więc jej kie-
dys pończoszkę dokończyć, którą robię dla córeczki naszego
najstarszego subiekta i cóż, za chwilę znalazłam ją we łzach:
pończochę sprutą, druty powyciągane. Przyznała się, że
chciałaby, ale niepodobieństwem to dla niej.

— To dziecko Michalino, trzeba jako z takim być wy-
rozumiałą.

— Czyliż nią nie jestem? Sądziłam, że książka ją zaj-
mie, dałam jej więc Lelewela, czy myślisz, że chociaż kartkę
przeczytała? Daty i liczby tak ją przestraszyły, że zaudzona

porzuciła ją wkrótce. Na gazety spojrzeć nie może, powiada, że sam widok tych ogromnych arkuszy dreszczem ją przejeżdża. Natomiast ugania się za motylami, podgląda gniazda ptasie, wcale bym się nie zdziwiła zobaczywszy ją kiedy drapiącą się na drzewo. Otóż masz! zawołała nagle z przerażeniem wstając i wskazując palcem.

Przy końcu ogrodu, na jednej z wielkich czereśni siedziała Stasia zjadając smacznie własną ręką rwany owoc.

— Idź, idź do niej, ja jej nie chcę widzieć, prawdziwe to nieszczęście z tą dziewczyną, co za wstyd, gdyby ją kto ze służby spostrzegł. Z uśmiechem postąpił pan Starża pod drzewo.

— Ach to pan, zawołało niezmieszane dziewczę, czy pani Michaliny już nie ma, bo niechciałabym, żeby mnie tu widziała.

— Nie ma, ale zejdź pani mam jej coś powiedzieć. Czy mam pani pomódz?

— O nie! ustąp się pan tylko trochę, a ja skoczę!

— Niech Bóg broni! co pani robisz! a podniósłszy ręce zсадził ją na ziemię. Tak się robi niegrzecznym dzieciom, czy chcesz pani zawsze do nich należeć? co byś pani zrobiła, gdybyś siedząc na drzewie zamiast mnie ujrzała nagle liczne towarzystwo?

— Byłoby mi to nieprzyjemnie.

— A widzisz pani! jest to więc rzeczą niewłaściwą — na cóż więc ściągać na siebie naganę lub niechęć.

— Ach pan to tak bierzesz surowo, a na wsi gdym mieszkała z ojcem, nieraz spinałam się po drzewach, a nikt mi za złe tego nie brał.

— Wówczas byłaś pani dzieckiem — zresztą dodał z zakłopotaniem, może ja nieuważałbym tak bardzo na to; ale moja siostra.

— Czyż mnie widziała pani Gocka?

— Tak jest i bardzo było jej to nieprzyjemnie.

— Ach Boże jakże mi to przykro, zamiast zyskiwać jej przychylną coraz bardziej ją tracę.

— No, no nie martw się tem pani wszystko jeszcze możesz naprawić.

— Ale, bo pan niewiesz o wszystkim. Kiedyś tu dała mi robić pończochę, a ja nieumiejętne stworzenie zaplątałam najokropniej, tak że potem pruć musiałam. Później dała mi jakąś strasznie nudną książkę, której sam widok pobudzał mnie do ziewania. Chciałam się jednak przezwyciężyć, wzięłam ją więc na moją ulubioną łączkę i tam zagłębiłam się w niej, po kilku chwilach nawet nie wiem kiedy zasnęłam i już prawie słońce zachodziło, gdy się obudziłam, teraz zaś na domiar wszystkiego złego spostrzegłam mnie na drzewie.

— Nie myślmy już o tem panno Stasiu nie chciałem pani martwić, lecz tylko zwrócić uwagę pani, że nie zawsze można oddawać się swoim fantazyom. Ale mam nowinę która może panią rozweseli.

— Cóż takiego — zawołała z ciekawością.

— Kupiłem wierzchowca, cudo łagodności i posłuszeństwa.

— Wierzchowca, — odparła, a lekkie rozczarowanie przebijało się w głosie — ależ pan masz już jednego.

— To prawda, lecz czyż drugi się nie przyda? otóż — czy nie jeździłabyś pani na nim — zdaje mi się, że raz słyszałem, jak pani mówiłaś, że z radością uczyłabyś się jeździć konno.

— Przyznam się panu, że — że się trochę boję.

— Dzieciństwo skoro ja pani konia daję, to niema powodu do żadnej obawy. Ignacy jest wybornym jeźdźcą da pani kilka lekcji a wkrótce będziesz pani mogła używać tej miłej rozrywki. Cóż rozpogodził się trochę?

— Myślałam, że pan mnie nauczysz!

— Czy pani na tem zależy?

— Tak, to jest nie, zresztą niech będzie jak pan chcesz — i gorący rumieniec oblał uśmiechniętą twarzyczkę.

— Otóż tak to lubię! A teraz muszę pospieszyć już i tak za długo się zatrzymałem.

— Ach te odjazdy — tak się tu obcą czuję kiedy pana nie ma.

— Naprawdę? zostałbym chętnie, ale dziś nie mogę.

— A więc do widzenia, a wracaj pan prędko.

— Do widzenia, a nie przemień się tu pani w jaki kwiatek podczas mej nieobecności.

— O nie! bądź pan spokojny, czyż kwiaty mają tak dobrych jak ja przyjaciół, byłabym nieroztropną mieniając się z niemi.

Po dniu skwarnym lipcowym, dniu znoonej pracy, tłumy robotników zbierały się przed dwór w wiosce L. Na czystem żadną chmurką nie zaćmionem niebie wypłynął księżyc oblewając swem srebrzystem światłem czekających ludzi. Ciszę przerywał od czasu do czasu łoskot wypuszczanej pary, lub zgrzyt kół fabrycznych. Wkrótce i to ustało a tylko niecierpliwse słowo lub energiczne przekleństwo dawało poznać przechodzących robotników. Kilku poważniejszych gospodarzy rozprawiało półgłosem:

— Wszystko cłekowi dokucza; a te żydy to najgorsze. Czy wieta kumo co zrobili dziewczynie Walentego? Łońskie-go roku, siedział jesce na swej własnej zagrodzie, na słabość zony pozycył od Arona 20 papierków, jak zaczął dolicać a procenta; a różne późniejsze pozycki, sprowadził komisją, która oceniła chatę z gruntem na 300 reńskich i oddała Aronowi bo tyle sobie w sądzie nalicył. Po za wcora, gęsi Walentego wlażyły do ogrodu zyda, dziewczynina posła je wypędzić, zyd rozsierzdżony wyleciał z chaty i dalejze okładać dziewczę, a ksyceć psytem ze go biją, ze skórę z niego ściągają, nasi byli w polu, na ten ksyk nazlatało się hałastry zydoskiej a kuzdy bił potraćł nogą i wzescał, ze dziewczę na pół nieżywe

zaledwie uciec zdołało i jak legło na pościeli tak dotąd leży *).

— Ja wam powiem jesce lepiej co zrobil Hersz Bosner nas karcmarz — zawołał przystępując do rozprawiających słuchający dotąd na uboczu parobek z wioski sąsiedniej. Franciszek Kudła miał się zenić z dziewczyną, służącą u Hersza. Juz się do wesela psygotowali, kiedy dniem przed ślubem, psysedł do chaty Kudły Hersz ze swym czteroletnim synkiem i dał Kudle parę butów do naprawy. Gdy odszedł, wyszli za nim po chwili obaj Kudłowie i zobaczyli jak Bosner manipulował coś koło bocznej ściany chaty, gdzie się znajdowały żarna. Po jego odejściu znaleźli duzo prosku, który jak powiedzieli doktorzy był trucizną i tyle go tam było zeby wystarczyło do otrucia wszystkich. Potem wykazało się że się odgrazał na Kudły, ze mu dobre wesele sprawi za to, ze brał mu w zniwa dziewczuche, kiedy najwięcej pracy. Psypomnieli sobie takze ludziska jak psed dwoma rokami, gdy dwie rodziny Laski i Sikory zachorowały na otrucie, takze był tam Bosner, zaskarzyli go do sądu i teraz psiawiara gnić tam będzie coś lat 14, ale co to znacy, takich Herszów jest w każdej wsi po pięć **).

— O rety, rety! a dyć juz zycia cłek nie pewny!

— Czy wszyscy już otrzymali zapłatę? zabrzmiał głos z ganku.

— A co to, pan tu, a my o tem nie wiemy takieśmy się zagadali — jesce my wielmożny Panie — jesce my.

— Zaraz moi ludzie — nie rozchodźcie się mam wam coś powiedzieć — słowa te powstrzymały cisnących się do bramy, nastąpiła cisza, w której donośny i dźwięczny głos pana rozlegał się wyraźnie:

— Przed chwilą dosłyszałem głosy oskarżające żydów o ciężkie zbrodnie — niechcę ich bronić, wszystko to jest pra-

* Prawdziwe.

**) Prawdziwe.

wdą wszelako pragnąłbym wam przypomnieć, kto temu wszystkiemu winien. Kto winien, że żydzi wśród was się osiedlając, grunta wasze za bezcen wam biorą, że ostatni grosz wam wyciągają i zrozpaczonego wreszcie do karczmy prowadzą? Kto temu winien? Powiem wam: Wy, wy sami. Czy pomyślicie w roku dobrym, że na przyszłe lato, może być nieurodzaj, czy odsypiecie co z tego co wam jest za wiele do spichrza gromadzkiego, jak robili wasi ojcowie, by mieć ziarno na zasiew na ciężkim przednówku, lub zapomogę, gdy głód przycisnie? Widzę tu między wami kilku zamożnych gospodarzy a i tych los czy zabezpieczony? Nie! dwa, trzy lat nieurodzaju, a chaty ich i grunta, jak tylu przed nimi pójdą w ręce żydów. A dla czego? Oto przez nieogłędność! przez brak ochoty do pracy. Na każdym jarmarku w okolicy pełno was, żaden odpust w czasie najbardziej roboczym, bez waszych żon i córek się nie obejdzie — a cóż z dobytkiem waszym? na opiece Boskiej! Lecz to za mało; czuwać nad sobą, a Bóg będzie się tobą opiekował, bo i Pan Bóg próżniaków nie lubi. Wasz pan dawny skarżył się, że was do roboty dworskiej zagnać nie można, ja nie chcę tak źle o was trzymać. Dotąd braliście po 35 ct. dziennie, aby was zachęcić, podnoszę zapłatę na 50 ct. Następują żniwa, roboty dużo, bardzo więc sobie pomóżcie. Kto nie może pracować w polu, niech przychodzi do fabryki; kobiety pracują tam od godziny 9 rano do 5 po obiedzie, ażeby niezaniebýwały domu i rano mogły zgotować mężowi obiad i zrobić porządek, wieczór zaś opatrzyć bydło i przygotować posiłek wracającym z pola lub od roboty. Dla dzieci zaś, które dotąd także zostawialiście na opiece Boskiej urządzam w jednej połowie dworu, w której mieszkać nie będę ochronkę t. j. miejsce, gdzie przyprowadzane przez matki udające się do roboty, będą cały dzień pod opieką dwóch starych kobiet zostawały. Zapowiadam tylko, że dzieci muszą być pomyte i w czystych koszulach, na to każda z was znajdzie chwilę czasu. A żeby zaś zapobiedz pożyczkom u żyda, zakładam

kasę dla moich robotników, z której dostaniecie w nieszczęściu bezprocentową pożyczkę, do której również możecie w nagłej potrzebie zanosić rzeczy na zastaw. Na rzecz tej kasy, każdy da ze swej zapłaty tygodniowo 10 ct., zaś po żniwach; do szpichlerza gromadzkiego, który rozwalony stał tu we wsi, a który kazałem naprawić każdy z was gospodarzy da po korcu zboża; ja z mojej strony daję na początek 50 korcy, do kasy zaś jako kapitał wkładowy trzy tysiące złr. A teraz powiedziałem już co miałem powiedzieć możecie się rozejść polecam wam tylko posłuszeństwo i ochotę do pracy bo jak uczciwego wynagrodzę, tak dla leniwca i pijaka nie będę miał litości.

— Oddajemy Bogu, wielmożny panie.

— Niech Bóg wielmożnego pana nadgrodzi.

— Dzielny pan, szeptali między sobą rozchodząc się, jak to on krótko a dobrze powiedział, jak myślicie kumie; zrobi on to wszystko co mówił?

— Dyc zrobi, kiedy gromadzie przyrzekoł.

— Ta, ta, wierzcie ciarachom, wszycko to jednoki, dawny dziedzic co się naobiecywoł.

— Tamten nigdy tak do nas nie psemowiał.

— Jak ta bedzie to bedzie, zawse da większą zapłatę — cłek sobie pozwoli — a do kasy to ta niekonieczna.

— Wstydz to sie o 10 grajcarków wam chodzi, a jak bieda to jest i zaratunek.

— Ba, ba, zawse to panowie, odprawi dziesięć razy, za nim raz wysłucha.

— Ej proszę pana czy to nie za wiele na początek—mówił do pana Starży dyrektor fabryki oraz najwyższa instancja w czasie nieobecności właściciela w wiosce L. — 50 korcy zboża do szpichlerza, trzy tysiące złr. do kasy jako kapitał żelazny, podniesienie płacy dziennej, a ochronka, a szkoła, którą pan zakłada. Nie mówię o ludzie, bo rzeczywiście w wielkiej jest nędzy i zaniedbania. Nasz poprzednik hr. P.

wydzierżawiając żydom, niemcom i kto się nawinął, nietylko ziemię wyniszczył, lecz i lud zdemoralizował; ale czy wystarczą nam środki? Dochodów z tej wioszczyny żadnych, utrzymanie zaś jej, osobliwie z początku dużo kosztuje, a z fabryki jeszcze kilka lat nic, albo bardzo mało co mieć będziemy. — Chyba, że sklep to złote jabłko wynadgrodzi nas za wszystko.

— Nie bój się panie Mateuszu, dużo jeszcze wody upłynie, zanim dom Starża i Spółka wyczerpie swe siły. Nie giełdą zbogaciliśmy się, ani dwuznacznymi spekulacyami, lecz uczciwą całych pokoleń pracą. Fabryka pokryje wszystko i to nie za lat kilka, ale za kilka miesięcy. Rozszerzam jej czynność, biorę jeszcze raz tyle ludzi. Dostałem znaczne zamówienia i jeśli cła nie podniosą na co się nie zanosi, to wszystko pójdzie jak z płatka. Lud zaś w takiej widzę nędzy, apatyi, tak źle żywionym, tak mało oświeconym, że muszę chociażby z chwilową stratą materyalną, postawić go inaczej. Kiedyż nadejdą czasy, w których chłop nauczy się gospodarować, dbać o jutro, nie da się wyzyskiwać pokątnym pisarzem, lichwie, karczmie....

— I dodaj pan bałamucić nauczycielom.

— Cóż rozumiesz przez to panie Mateuszu?

— Nauczyciel tutejszy niepodoba mi się, miewa jakieś konszachty i tajne rozmowy z ludźmi, którzy mi strasznie na prusaków patrzą. Kilka razy przechodząc koło karczmy słyszałem jak perorował przeciw bogaczom i zapowiadał, że wkrótce inne czasy nadejdą, w których wszystkie majątki równo podzielone zostaną i nie będzie ani panów ani biedaków!

— Jest to rzecz ważna, muszę się nad nią namysleć. Kto wie czy się nie postaram o przeniesienie lub zgola odsunięcie dotychczasowego nauczyciela. Mam innego, który odpowie moim oczekiwaniom.

Dla Stasi niepostrzeżenie płynęły dni, nawet nie spostrzegą dłuższej tym razem nieobecności pana Starży. Co-

dziennie rano, na godzinę lub dwie, przychodził pan Ignacy, wówczas wyprowadzano ślicznego wierzchowca i na szerokich ulicach, miękkim piaskiem wysypanych rozpoczynała się lekcya. Stasia w ciemno - szafirowej amazonce wyglądała powabnie, ruch do którego nieprzywykła i inne uczucia kraśliły mocnym rumieńcem śniadą twarzyczkę, a pan Ignacy był tak łagodnym, cierpliwym nauczycielem, że z wielką radością oczekiwała tych porannych godzin jego mała uczennica.

Lekcye te miały świadka, jakkolwiek żadne z nich o tem niewiedziało. W jednym z okien kryła się twarz a dwoje palących oczu z boleścią i trwogą na nich patrzyło.

Panna Anna, pokojowa pani Michaliny poważna sztywna jak jej pani i równie niechętna obcemu przybyszowi dla pracy powiększonej, od niejakiego czasu nie mogła poznać swej zimnej pani.

Ona zawsze tak spokojna, pewna siebie, mało dbająca o zewnętrzne fraszki i stroje, nagle stała się wymagającą, próżną, najpilniejsze zajęcia gospodarskie porzucającą; i dla czego? aby się przypatrzeć jak mała cyganka trzpiota się i swawoli na koniu.

— Czy oszalała — szeptała nieraz gniewnie, przyszywając koronki do rękawów, gdzie dawniej starczyły, proste płócienne mankiety — czy oszalała, chce na równi stroić się i uśmiechać z tym małym szatankiem? czy zaraza wionęła na ludzi? Pani Gocka, tak poważna przyzwoita osoba, zaczyna, czego nigdy dawniej nie bywało, przerzucać suknie, przeglądając się w lustrze. Pan Ignacy zabiega co rano, by uczyć konno, nibyto, znamy się na tem, nawet 'nasz pan uśmiecha się, gdy mała czarownica, zacznie stroić grymasiki, lub uganiać jak chłopak po ogrodzie. Jeszczem też czegoś podobnego nie widziała, po całych godzinach będzie to grać w balona a nawet się nie zadysze takie jakieś lekkie, że z wiatrem mogłoby lecieć. Ot i teraz pani stoi a stoi przy oknie, kilka razy, jużem się pytała czy mam naprawić bieliznę do prania, czy

mi ją wyda — dawniej bez upomnienia byłaby sama przejrzała, wyjęła a teraz nawet nie słyszy co mówię, nawet nie wie, że jestem w pokoju, a gdyby wiedziała odprawiłaby mnie najobojętniej — i dla czego to wszystko? oto by się przypatrywać jak panna Stasia jeździ na koniu!

Pani Gocka rzeczywiście z płonącemi oczyma mocno zaczerwienioną twarzą, śledziła każde poruszenie Stasi, a ile razy młode dziewczę w przestachu chwyciło się ramienia pana Ignacego, pani Gocka zgryzała do krwi pełne pąsowe usta. W jej umyśle powstał szereg wspomnień i marzeń, któreby się dały w ten sposób uszeregować.

— A to dziewczę, to dziewczę nieszczęsne! dobre miałam przeczucie nie chcąc jej przyjąć do domu; jak ona niegodnie go kokietuje, z jaką swobodą patrzy i uśmiecha się do niego! O gdy pomyślę, że m tego człowieka miała, że posiadała jego miłość, cichą, głęboką a wierną i że nim pogardziłam dla wyelegantowanego błazna, który straciwszy cały majątek i podle stchórzywszy uciekł przed wszelkiemi następstwami, tam gdzie go niczyje wyrzuty nie dosięgną, wówczas głębsza rozpacz targa me serce, niż w owej chwili, gdy m się ujrzała samą bez grosza z dwojgiem małych dzieci.

Nie Henrykowi! który pogrążony w pracy i zasypany interesami po swoim powrocie, kto wie czy wiedział o zmianie mego losu, lecz znowu jemu, temu niestrudzonemu szlachetnemu przyjacielowi, winnam mój powrót pod dach ojczysty; niestety już tylko przyjacielowi. O gdybym mogła przewyciężyć niechęć ku tej dziewczynie, gdybym mogła jej powiedzieć: tyś młoda, dla ciebie cały świat otworem, zostaw mi tego, jedyne go którego cnoty za późno poznałam a do którego moje serce od początku należało! Lecz nie! prędzej umrę, niż przez usta moje podobne słowa przejdą. Nie, muszę pokutować za to com z braku odwagi i obawy przed nędzą uczyniła. Nędza! a czyż ona mnie i tak nie nawidziła? nikt nie ujdzie swego przeznaczenia!

I to teraz, gdym myślała — precz z głupimi myślami, cierpię za własne winy. Będę nadal tą zimną, niedostępną wszelkim uczuciom kobietą, niech nikt nie wie o mece, którą moje serce przenosi.

Skończona lekcya — chwała Bogu — lecz jutro znowu się powtórzy.

Po tygodniowej nieobecności wrócił pan Starża w towarzystwie równie niespodzianym jak dziwnym, był nim nauczyciel ludowy ze wschodniej Galicji Jan Skiba.

Stasi wychowanej w szlacheckim dworze, równie jak pani Michalinie przyzwyczajonej do towarzystwa bogatych mieszczan i kupców, których znalezieniu i wychowaniu nic zarzucić nie można było; młody nauczyciel wydawał się jakimś dzikim człowiekiem. Głośno rozprawiający, rozkładający się po krzesłach i kanapach, nie ustępujący nikomu, by okazać, że nic mu tu nie imponuje, mimo tego nie umiejący się ani obrócić, ani ukłonić rozbudzał śmiech Stasi i drażnił dumę pani Michaliny.

Mała swawolnica znajdowała przyjemność w wyciąganiu na słówko biednego nauczyciela, w uczeniu go jak mawiała form towarzyskich i dobrego znalezienia. Pani Michalina nie ganiła tego ani pochwalała, pan Ignacy niecierpliwie się zżymał, nauczyciel z pełnym zarozumiałości uśmiechem pozwalał zajmować się sobą — jeden pan Starża zdawał się nic nie spostrzegać.

— Panno Stasiu rzekł pewnego razu Ignacy spotkawszy w ogrodzie przechadzającą się Stasię z panem Skibą — panno Stasiu nie masz pani nikogo, ktoby cię oświecił, przyjm więc odenmie uwagę, że niewypada, by młode dziewczę, tak dalece się zajmowało młodym człowiekiem.

— Czy pan mówisz o mnie i o panu Skibie.

— Tak jest, te przechadzki z nim, te długie rozmowy, te pół żartem, pół seryo, nauczania go, mogą na różne domysły naprowadzić, równie jego, jak i otoczenie pani. A widząc z wyrazu jej twarzy, że go zupełnie nie rozumiała dodał

zakłopotany, — Czy nie pomyślałaś pani nigdy o tem, że on może to brać za rodzaj uczucia — za upodobanie.

— Za rodzaj uczucia?

Z niedowierzaniem spojrział na obok idącą, lecz widząc jej wielkie oczy z ciekawością utkwione w niego, zawołał — Czy pani mnie nie rozumiesz, czy nie chcesz rozumieć!

— Ależ nie! z pewnością! mówisz pan, że on to wezmie za upodobanie, za rodzaj uczucia — za jakie upodobanie, za jakie uczucie?

— Za to co inni biorą, że mimo jego niedźwiedziowych form podobał się pani!

— On mnie? cha, cha, cha — lecz nagle poważniejąc i spoglądając z boku figlarnie na pana Ignacego, rzekła ciszej zresztą któż wie, różne są gusta, on mi się znowu nie wydaje tak bardzo pospolitym, żebyś pan wiedział jak o niektórych rzeczach pięknie mówić umie.

— Może o uczuciach?

— Tak jest, przecież są różne rodzaje uczuć.

— Spełniłem co uważałem za mój obowiązek — rzekł ze smutkiem patrząc na młodą uśmiechniętą twarzyczkę — przestrzegłem panią, daj Boże, byś nie żałowała swego uporu i oby wszyscy tak pobłażliwie sądzili panią jak ja.

— Cóż to tak poważnie, zabrzmiał głos pana Starży, czy dajesz nauki moralne mej małej pupilce?

— Nie nazywaj mnie pan małą! nie lubię tego.

— Dotąd nie gniewałaś się pani za to!

— Być może dotąd, ale teraz.

— Teraz odkąd panna Stasia zaczyna chorować na poważną i dorosłą pannę.

— Albożem nią od początku nie była? zwróciła się zarumieniona do p. Ignacego.

— Zdaje mi się że nie — odpowiedział z uśmiechem — lecz darujcie państwo, że was opuszczę, mam jeszcze niektóre rzeczy do załatwienia.

— Czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć — zaczęła z ta-

jemniczą minką Stasia do idącego z nią dalej pana Starży — jak się objawia uczucie zazdrości?

— Zazdrości? zkadże pani przychodzisz do tego pytania?

— Ach Boże, czyż chcąc się dowiedzieć od pana trzeba naprzd godzinę tłumaczyć? dość panu, że chcę wiedzieć.

— A zaraz jak iskra.

— No powiesz pan?

— Rozmaicie się ono manifestuje; u takich młodych istotek jak pani, dąsami i kaprysami na najniewinniejszych ludzi.

— Ależ o mężczyzn się pytam, u mężczyzn!

— U mężczyzn? nagła powaga odbrzmiała w cichszym niż zazwyczaj głosie; głębokiem ukrywaniem, by nikt nie poznał, a najmniej ta, która jest tego przedmiotem.

— Tak? a ja myślałam... sądziłam że... że .. pan Ignacy...

— Czy znasz pani historią Ignacego?

— Nie! opowiedz mi ją pan zawołała żywo, zawsze mi się zdawało, że pod jego pięknem czołem, kryje się jakaś tajemnica.

— Prawda, on piękny! — Ale do rzeczy. Mylisz się pani rachując na coś strasznego; cała historia da się streścić w kilku słowach. Kochał moją siostrę jeszcze gdy panną była i kocha ją do dziś dnia...

— Kocha do dziś? a ona?

— Ona nie chciała dzielić z nim ubóstwa, poszła za innego, lecz teraz jest wolną...

— Rozumiem, lecz ja na jej miejscu nigdy nie miałabym siły odepchnąć go, czegoż pan tak stoisz i patrzysz na mnie? ach Boże tak się czuję nieszczęśliwą — zawołała rzucając się na ławkę i zakrywając oczy łzami zalane.

— Panno Stasiu, uspokój się pani niechciałbym, by panią tak wzruszoną kto widział, proszę uspokój się pani.

— Prawda masz pan słuszność, dosyć już, że pan mnie widziałeś.

— Ja? to co innego, wszakże zaszczytasz mnie pani nazwą przyjaciela?

— Jeśli takim dla mnie jesteś, to błagam pana nie wspominać mi nigdy o tym płaczu.

— Nigdy, masz pani moje słowo... no, a teraz może się przejdziemy trochę... chciałbym rozweselić panią. Przykro mi patrzeć na posępną twarzyczkę pani, zawsze taką szczerą wesołością ożywioną.

— Nie, nic nie chcę, wszystko mi obojętne...

— A gdybym zaproponował pani przejechać się konno?

— Nie mów mi pan o tem, nigdy na konia nie popatrzę, a tem mniej kiedykolwiek go dosiędę. — Pan Ignacy był zawsze tak uprzejmy, tak względny, a tymczasem... niecierpię fałszu!

— Tak być nie powinno panno Stasiu, nie tylko, że jak dotąd będziesz pani i nadal używała tej rozrywki, lecz w niczem także nie zmienisz swego postępowania z Ignacym. Wierz mi, on zawsze był i jest szczerym pani przyjacielem, niczego się nie domyśla, czy chcesz pani byś swem postępowaniem dała mu do tego powód? Nie! więcej siły ducha przypisuję mojej małej przyjaciółce, a na dowód tego pojedziesz pani zaraz ze mną.

— Kiedy przyrzekłam panu Skibie przeczytać tę książeczkę i o piątej być w ogrodzie ma mi coś powiedzieć.

— Książeczkę, jakąż to? „O socyalizmie“, konfiskuję, to nie jest dla pani...

— Ależ jam mu przyrzekła...

— A ja w jego imieniu rozwiązuję panią z tego przyrzeczenia, czy mówił co pani o treści tej broszury?

— Tak często słyszę powtarzane słowo socyalizm, żem chciała się dokładnie dowiedzieć co ono znaczy, a on mi na to dał tę książeczkę zapewniając, że z niej się wszystkiego dowiem:

— Są tu skreślone najsłabsze pojęcia tej teorii —

spodziewam się, że będziesz pani posłuszną i nic podobnego bez poprzedniego zapytania mnie nie zechcesz czytać.

— Nie mój panie, chciałam to tylko uczynić dla pana Skiby.

— Pan Skiba, pana Skiby, z kąd jego osoba, w różnych odmianach i przypadkach przychodzi na usta pani?

— Ostatnimi dniami dużo z nim przebywałam i spostrzegłam, że nie jest wcale tak śmiesznym jak mi się początkowo wydawał.

— Jak pani mówisz poważnie jak'eś pobladła — lepiej może nie jedźmy już dzisiaj, idź pani spocznij — a niechaj do naszego najbliższego widzenia ta chmurka z czoła zniknie. Przrzekasz mi to pani?

— Przrzekam.

— Widzę, że znowu łzy się kręcą w oczkach, jeszcze chwilka a popłyną... No idź już pani, idź... Biedne dziecię szepnął patrząc za odchodzącą i pomyślał jak ona niepodobna do Michaliny, zdaje mi się, że do żadnej innej kobiety. Niechciałbym jej widzieć np. z drutami w rękę, raczej w jej smagłe rączki włożyłbym bukiet konwalii, które tak lubi, a we włosy wplótłbym korale jarzębiny, jakżeby powabnie wyglądała ta ożywiona twarzyczka, i duże błyszczące oczy... Lecz dziś takimi nie były! Wiem, że Ignacy nic nie winien, a jednak mam żal do niego.

Co za rozkosz czytać w tak czystej duszy i sercu, dotąd żadna skaza jej nie plami, bo zajęcie się Ignacym jest chwilowem, ale może inne nastąpi, trwałe, silne i gorące, a wówczas...

Był to chmurny wieczór, deszcz bił o szyby. Stasia bledsza niż zwykle siedziała w salonie nadsluchując szumu wiatru. Jakkolwiek kilka dni minęło od wyjaśnień owych, jeszcze nie przyszła do równowagi i najmilej by jej było zostać samej w swoim pokoiku, lecz niewypadało, to słówko trzymało ją na uwiezi. Pani Michalina zajęta była szyciem nie podnosząc oczu, naszej więc małej Stasi nie pozostało

nic, jak smutne rozmyślania, Przerzucając bezmyślnie książki na dużym stole wpadła na jedną, której powierzchowność podobała jej się najlepiej, otworzyła: „Pan Tadeusz“. Przypomniała sobie czytane niegdyś wyjątki z panną Zofiją swoją nauczycielką, później z ojcem i zaczęła przerzucać. Wkrótce zapomniała o wszystkim biorąc żywy udział w grzybobraniu, wszakże i ona tak często dawniej na grzyby chodziła, ale jakież uroczę znajduje tutaj, a te obłoki, chmury, sławione tak wymownemi usty, te drzewa! czyż i one nie żyją? czyż brzoza nie jest biedną oplakującą wdową, a cytryna?! zupełnie tak wyobrażam sobie nasze zarozumiałe wysokie topole, takie zazdrosne, że najbardziej zmęczonemu podróżnemu nie użyczą chłodu, brak im tylko złocistych gałek.

— Któraż to książka zająła tak Panią?

Podniosła głowę, stał przez nią p. Ignacy, a obok niego p. Starża wpatrujący się w nią uważnie.

— Ach to pan, rzekła zmieszana nie myślałam, że to tak późno.

— „*Pan Tadeusz*“, otóż znalazła się książka zdolna zająć panią. A jak przytem czas prędko mija nieprawdaż?

— Tak jest! ale bo to wszystko tak opisane jakbym sama tego świadkiem była, podobnych książek musi być bardzo mało?

— Takich arcydzieł zapewne, lecz dużo jest zajmujących, pouczających, n. p. ta jaka ładna! i pół głosem zaczął czytać rzewne Ujejskiego piosenki.

— Ach jaka szkoda, że nieśpiewam, zaraz bym którą z nich zanuciła, jakie to musi być wdzięczne przy muzyce!

— Może nam pani co zaśpiewa w ten ponury wieczór, zwrócił się pan Ignacy do siedzącej przy lampie pani Gockiej.

— Nie, dziś jestem nieusposobioną — odpowiedziała oschle.

— Jakto pani Michalina śpiewa? o prosimy, prosimy! — Pan Starża musi się wstawić za nami ręczę, że prędzej będzie wysłuchanym.

Wzrok jego z zadowoleniem spoczywający na niej, mówił jej, że dobrze się trzymała, to jej dodawało odwagi, zdawał się nie słyszeć jej słów ostatnich, dopiero ocknąwszy się, jakby z miłego marzenia zapytał przybliżając się do stołu — O cóż idzie?

— Jak można być tak roztargnionym — rzekła Stasia kiwając główką — gdzie pan byłeś ze swemi myślami? prosiliśmy z panem Ignacym, byś połączył swe prośby z naszemi i by pani Gocka raczyła zaśpiewać jeden z tych czarujących mazurków.

— Rzeczywiście byłoby mi bardzo przyjemnie usłyszeć twój śpiew Michalino, już dawno nie doznałem tej przyjemności.

Bez słówka odpowiedzi wstała powolnie i zajęła miejsce przy pysznym Erarda instrumencie, nastąpiła lekka smęt-na przygrywka; a potem zabrzmiał głos silny, dzwieczny, wibrujący dziwnem uczuciem:

„On mnie pytał, co ja wolę“

Przy ostatniej zwrotce w której przypuszcza jeszcze możliwość tego słodkiego pytania, głos śpiewaczki drżał wzruszeniem i jakby tajonem pragnieniem. Pan Ignacy siedział cicho w ciemnym kąciku, Stasia zaś ze złożonemi rękoma zwróciła z podziwem duże swe oczy na białą nieruchomą postać kobiety, której twarz nie zdradzała ani razu uczucia przebijającego się w jej głosie. Po tej nastąpiły inne, a wszystkie przepełnione były tą samą tęsknotą, tem samem nieokreślonym pragnieniem.

Wieczór ten był jednym z przyjemniejszych, jakkolwiek Stasia wstydziła się przyznać do tego, przypominając sobie swój smutek i łzy niedawne.

Pan Skiba przechadzał się niespokojnie po swoim pokoju, na stole leżały widocznie dopiero co porzucone dzienniki i gazety, ręka co je z takim impetem rzuciła musiała być gniewną, a wzburzenie malujące się na twarzy potwierdzało to przypuszczenie.

— Co? tu tak ciemno! zawołał pan Starża wchodząc do pokoju swego gościa — dlaczego nie każesz pan podać sobie światła; widzę że Jan z każdym dniem więcej niedołężnieje, musiał zapomnieć o panu.

— Nie myślałem w tej chwili o świetle, ani zauważyłem zmroku, co innego mnie zajęło.

— Cóż takiego, podziel się pan ze mną — otóż już mamy lampę — a teraz usiądź pan i opowiedz mi.

— Przypominasz pan sobie, com mu mówił na posiedzeniu, które pan zwołałeś, o banku włościańskim? Oto jest najświeższy dowód jego postępowania — czytaj pan, ale nie, lepiej ja sam opowiem panu, znam stosunki tej wsi, byłem tam nauczycielem.

Wdowa Czorneńka wzięła pożyczkę z banku włościańskiego w kwocie 280 złr. rozmaitym stręczycielom, adwokatowi, komisji, zapłaciła razem 120 złr. zostało jej więc 160 złr. — czy wiesz pan ile musi zapłacić bankowi za lat 9 wraz z procentami? 900 mówię dziewięćset złr. Znałem tę sprawę radziłem jej przeszłego roku, by się udała z zażaleniem do sejmu, ale pan znasz sejm galicyjski, pożał się Boże! Otóż wybrano komisję, która miała zaglądnąć do ksiąg, komisarz rządowy zapewniał, że bank na to pozwoli, ale potem cofnął swe przyrzeczenie mówiąc, że bank się rozmyślił i nie pokaże książek *). Teraz oto czytam rozpisana licytacją na grunt wdowy Czorneńki. I cóż pan na to? a wydają ustawy przeciw lichwie.

— To prawda, że to musi wzburzyć krew, lecz gdzież na to ratunek?

— Gdzie pytasz pan? Tu drobne środki nie pomogą, tu trzeba radykalnych zmian w ustroju społecznym w dążnościach i intencjach inteligentnej części narodu. Pan jako jednostka nic nie poradzisz; dajmy na to, że inne gospodarstwo

*) Gaź. Narod. nr. 219 r. 1881.

zaprowadzisz w swej wiosce, że po ojcowsku będziesz swych włościan doglądać, że wzmożesz ich dobrobyt, podniesiesz oświatę — czyż to uratuje kraj? Cóż jest podstawą narodu, jego fundamentem? Chłop. Idź pan spojrzysz po chatach, przemieszkaj z nimi lat parę, jedz chleb ich gruby i karm się ich nędzą i złorzeczeniem. Wyjdź z tego ludu, bądź kość z jego kości i krew z krwi jego, czuj w trójnasób uderzenie każde wymierzone w pierś jego. Patrz się na jego łzy, gdy rzuca chatę rodzinną w której często marł z głodu, wychodzącego o kiju do Ameryki lub osiadającego w komornem u żyda, na tym samym gruncie, gdzie był właścicielem i tworzącego proletaryat ciemny, niezadowolony, powstający przeciw wszystkiemu co od panów pochodzi, a wówczas zapytaj gdzie jest ratunek! Ja syn chłopu rusińskiego nie umiem czuć na poły; gdy nienawidzę to całą duszą, gdy umiuję to na śmierć i życie. A gdy pomyślę o losie tego ludu pogardzanego przez pana, wyzyskiwanego przez żyda, ogłupianego przez księdza drzę z gniewu i dziwne pragnienia pierś mi przepełniają i dziwne myśli przychodzą mi do głowy.

— Uspokój się pan tu trzeba powolnej a wytrwałej pracy, nie bezcelowych rzucań się i patetycznych wykrzykników. Chcesz pan ni mniej ni więcej tylko poprawy gospodarki krajowej, tego pragnie każdy prawy obywatel, lecz czy to da się rozpaczą lub nienawiścią osiągnąć? Nie! tu trzeba miłości, wielkiej, wytrwałej nie do jednej klasy narodu, jak pan ją czujesz, lecz do wszystkiego, tu trzeba spajać nie burzyć; kraj poznaje swe błędy, poznaje złe a to już jest wiele.

— Poznaj! i cóż z tego że poznaje? Tego co się dotąd robiło i robi, na rachunek rzeczywistej produktywnej czynności zaliczyć nie można. Sprawa ludu, sprawa oświecenia i podniesienia go jest wprawdzie na ustach wszystkich, lecz tylko na ustach, a rzeczywiście nie robi się nic, lub tak mało, że tego za robotę uważać nie można.

— Lecz z czasem.

— Z czasem będzie to samo co dziś jest. U nas

w Galicyi od lat kilkunastu bardzo wiele zrobić było można. Przy korzystnych stosunkach można było już dotychczas stanowczy wpływ zyskać na lud i użyć go w sposób dla tegoż najkorzystniejszy, tymczasem dwory oddzieliły się od gmin by nie dzielić wydatków tejże, a tem samem dały wolny przystęp wszystkim wrogim żywiołom do niej.

— Dobrze — więc robisz pan krzyżyk na przyszłość, złorzeczysz przeszłości, nie masz nadziei w teraźniejszość? cóż więc zamysłasz?

— Co? podług mnie powinien nastąpić przewrót zupełny — pan mnie rozumiesz, pan! w którego żyłach kropli krwi szlacheckiej niema.

— Rozumiem pana! i dlatego, że rozumiem szczerze boleję nad skrzywieniem człowieka mogącego na polu właściwym wielkie korzyści przynieść społeczeństwu. Pragnąłem widzieć pana kierownikiem gromadki, za której postępowanie jestem odpowiedzialnym. Teraz waham się, bo jakkolwiek wielkie zdolności, przy głębokiem zrozumieniu potrzeb ludu, znachodzę u pana, jednak to uczucie goryczy posuwające się aż tak daleko przeciwważy wszelkie zalety pana. A jednak wierz mi pan, nauczyciele podobni panu, w którychby sercu zamiast nienawiści miłość żyła, zdziałałiby niewymownie wiele. Ja mieszczuch, nieznam dobrze instyktów i popełdów chłopu, nie umiem trafić w strunę, któraby dźwięk wydała; pan byś mnie nauczał, pan byś mi wskazywał. Tak układałem, gdym po raz pierwszy zobaczył pana na owem posiedzeniu, gdym słyszał twe słowa pełne prawdy i trzeźwości, dziś niestety kto wie czy nie przyjdzie pożegnać mi się z tą myślą. Ta książka którą znalazłem w rękach dziecka prawie, a jadęm której nie powinienes zatruić jej młode serce oświeca mnie lepiej, niż słowa twoje. Nie tam kwitnie dobrobyt i szczęście — u jej końca spragniony i znużony zastaniesz rozpacz i wyrzuty sumienia. Jaki siew, takie żniwo, siejcie miłość, miłość zbierać będziecie nienawiść, zaś którą w sercu sączycie odbije się na was samych. Porzuć pan

mrzonki, które po rozlaniu wielu łez i krwi za mrzonki prędzej lub później uznasz, a weź się do wytrwałej pracy. Żadne ziarno miłości i pokoju nie zginie marnie, a jeśli my jeszcze na wzrost jego patrzeć nie będziemy, to następne pokolenia z chwałą nasze imię wspomną! Wiem, że przekonanie u prawego człowieka nie zmienia się jak suknia, dlatego nie podejmuję walki próżnej, bo na słowo — lecz proszę pana namyśli się, postaw dowody za i przeciw, a wówczas przyjdź z rezultatem do mnie! Pan się dopiero skłaniasz do tych pojęć skrajnych, jeszcześ sam niepowiedział sobie, tu stanę i wytrwam, dlatego możliwy jest odwrót, a gdy przyjdiesz do mnie i powiesz: Wahanie moje znikło, nie chcę bużyć lecz budować, wówczas uwierzę ci jak człowiekowi uczciwemu i podam rękę na dalszą drogę życia!

Na ulubionej swojej łączce siedziała Stasia kreśląc w zamyśleniu parasolką po ziemi. Gniewa mnie to i dziwi — szepnęła podnosząc twarzyczkę świeżym rumieńcem oblaną — że tak prędko zubożyła dla mnie pan Ignacy. Czy to może dla tego, że wiem o jego pierwszej stałej miłości, czy też, że szczerze po przyjacielsku, ale bez śladu czegoś głębszego ze mną się obchodził, dosyć, że przestałam się czerwienić, gdy do mnie przemawia i z biciem serca nadśłuchiwać jego kroków, a nawet nie tyle mi się podoba jak dawniej. Widzę z tego wszystkiego, że nie zdolnam się w nikim zakochać, ale też i nikt we mnie; trochę mi żal, ale — może to i lepiej! Jednak chciałabym raz choć widzieć miłość, co też ja plotę czy miłość się widzi, ją się tylko czuje. Jakby to pięknie było, gdyby kto przyszedł, ukląkł przedemną (bo naturalnie klęczeć musi) i powiedział: Pani ja ciebie kocham, a ja bym odpowiedziała: Panie i ja także, potem wstając ofiarowałby mi piękny bukiet, nie paczkę cukierków wolałabym nawet może cukierki — ile to mi Ludwik ich nadawał, a pomadek w ślicznych pudełeczkach! pan Henryk o tem nie myśli chociaż jest jakby moim opiekunem.

— O czym pani tak myślisz? stoję tu od chwili a nie spostrzegłaś mnie wcale.

— A to pan, panie Skiba? usiądź pan tam, na przeciw mnie, żebym pana widziała, nie lubię, gdy kto stoi, a ja siedzę — spojrzysz pan jaki śliczny widok, te góry w dali, zawsze na nie patrzę, czy znasz pan góry?

— I to bardzo wysokie, Delatyna, Żabie.

— Raz w przejeździe byłam na Pokuciu — jechaliśmy brzegiem Czeremoszu, z jednej strony szumiąca rzeka, z drugiej nagie skały — a droga tak wąska, że zdругim wozem niepodobna było wyminąć.

— I ja tę drogę odbywałem, pieszo z kolegami — czy podobała się pani?

— Nie, może to śliczne, ale ja się bałam! Czeremosz huczał i szumiał, konie mieliśmy płochliwe, zdawało mi się, że co chwila śmierć nas spotka; ojczulek śmiał się ze mnie, ale to mi nie dodawało odwagi. Te wysokie niebotyczne góry robią na mnie przygnębiające wrażenie — co innego Podgórze na którem wychowaną byłam, cały kraj pagórkowaty, ale nie przestrasza nagiemi bokami, lub porozdzieranemi wierzchołkami. Ach jak ja kocham tę samborską okolice, jakżem płakała, gdy ojczulek sprzedał nasz miły Dniestrzyk. Żeby pan wiedział co to za śliczna była wioska! dwór stary, pochylony, z gankiem; po jednej stronie była kancelarya taty, po drugiej dwa pokoiki mój i tak zwana biblijoteka, w której było zaledwie kilkanaście książek, a na środku stół zielonem suknem nakryty. Przy tym stole odbywały się moje lekcye z panną Zofią ale, że okna były otwarte na sad pełen owoców i kwiatów własną moją ręką pielęgnowanych, więc częściej zaglądałam tam jak do książki; dla tego też zostałam takim nieumiejętnem stworzeniem i do dziś dnia wolę błękitne czyste niebo, lub najlichszy kwiatek; niż Bóg wie jak piękną książkę. Czy pan nie masz żadnych wspomnień?

— Nie pani! syn chłopa, wychowany w kurnej chacie nie miałem czasu na to; biedowałem na wsi, biedowałem po-

tem w mieście, to też tylko o biedzie mam dokładne wspomnienie.

— A jednak, gdym czasami zwiedzała chaty naszych wieśniaków, tak tam w niejednej było schludnie, tak wybielono; a ileż razy widziałam chłopkę pieszczącą swe dziecko czyż to nie najmiłsze wspomnienie? ja takiego nie mam, bo matki nie pamiętam.

— I ja moją tylko bardzo niejasno! umarła na cholere nie mając ratunku. Jedyny doktor w miasteczku o mil pięć oddalonem tak był rozrywany, że nie mógł nastarczyć.

— Widzi pan ile to związków pomiędzy nami i pan jesteś jak ja sierotą, jedne okolice zwiedzaliśmy nad tym samym szumiącym Czeremoszem.

— Tylko, że pani w powozie, a ja pieszo!

— Czyż to stanowi różnicę? Byłabym wołała pieszo tak się bałam powozem. Czasem jestem taka wesola, że nic nie potrafi mi zepsuć humoru.

— Zdaje mi się, że pani zawsze taka!

— O nie! są dnie w których mi nikt nie dogodzi! niech Bóg broni, żebym pana wówczas ujrzała z jego surową miną i ostremi słowy.

— Nie byłem posiadaczem wioski, ani nie mieszkałem we dworze, inaczej może bym się także śmiał częściej.

— O czy i z tego robisz mi pan zarzut?

— Jaka pani dobra! — im dłużej z panią jestem, tem więcej poznaję, ile mi brakuje pod względem towarzyskim.

— Doprawdy? to mnie cieszy, że się pan do tego przyznajesz, teraz nauka pójdzie rażniej. Czy wiesz pan, że od pierwszej chwili poznania, przedsięwzięłam sobie okrzesać go trochę.

— Proszę! — to nie bardzo pochlebne — i tej przyczynie mam zawdzięczać dobroć pani?

— Naturalnie! czyż to nie pięknie, że mnie tak zajmuje los moich bliźnich?

— Pani jesteś niebezpieczną, bardzo niebezpieczną! lepiej zrobię unikając panią!

— Cóż pan przez to rozumiesz? czym zamorusany dzieciak wiejski którego widok jest niemiły!

— Więcej, stokroć więcej — głos jego w szept przechodził, a oczy w nią utkwione błyszczały gorączkowo.

— Jaki pan dziwny jesteś, jak patrzysz ponuro, naprawdę bać się pana zaczynam!

— Pani mnie? cha, cha, cha!

— Nie śmieć się pan tak, to mi przykrość sprawia w uśmiechu tym łzy słyszeć!

— Masz pani słuszość, śmiech mój, śmiech chłopca to łzy, nie wesele!

— Czego pan wiecznie tego chłopca wspominasz?

— Bo nie chcę zapomnieć różnicy, rozumiesz pani, różnicy położenia! Lecz ty mnie nie zrozumiesz, ty dziecię szlacheckie, które od kolebki stąpasz po kwiatach, które nie znasz niedoli ludzkiej chyba z opisu, ani namiętności, boś nie zdolna jej odczuć! Nie! nie! ty nie jesteś niebezpieczną dla mnie!

— Cieszę się z tego, bo też wcale nie pragnę ściągać na pańską głowę jakichś niebezpieczeństw! siódma, chodźmy do domu, pan Starża musiał już przyjść.

— Ja nie pójdę jeszcze — przejdę się trochę.

Pani Michalina wracała z miasta. Jej praktyczna zawsze do chwili obecnej skierowana natura, nie dopuszczała bezcelowych wycieczek, i choćby w koło najpiękniejsze obrazy roztaczała natura, zima czy wiosna mała ziemię, ona na to nie miała czasu zwrócić uwagi zajęta gospodarstwem i zarządzaniem domu. Tak i teraz wracała spiesznym krokiem, rozmyślając co to tam się dzieje podczas jej nieobecności, niepokojąc się myślą czy czego wydać nie zapomniała i czy

opieszała panna Anna dobrze zawiesiła firanki w pokoju brata.

Nagle wszystkie jej myśli i niepokoje prysły jak bańki mydlane, na widok dobrze znanej sobie postaci postępującej naprzód.

Wkrótce zrównała się z nim, a spojrzawszy w twarz wybladłą zawołała przerażona:

— Panie Ignacy, czy grozi co memu bratu? mów pan nie obwijaj w bawełnę, poznaję po panu że coś niedobrego się stało.

Wzrok jaki spoczął na niej, przyspieszył bicie jej serca, dawno już dawno, podobnie spojrzał a było to w chwili, gdy z rozpaczą w sercu stała w pustym ogołoconym ze wszystkiego pokoju, przy niej jej dwaj chłopcy, a we drzwiach żyd dłużnik wynoszący sprzęt ostatni.

Wówczas on się zjawił i zanim przemówił, długiem, pełnem tklivości i bólu spojrzeniem witał towarzyszkę swych zabaw dziecinnych. Dziś na krótką jak błyskawica chwilę uderzył ją ten sam wyraz, czyż i dziś ma ją wesprzeć, pocieszyć w złowrogiej chwili.

— Przyjm pani moje ramię, jesteś znużona i zziębnięta, dzień podobnie jak dziś dżdżysty nie jest właściwym do wybieczek na miasto.

Zaś po chwili milczenia mówił dalej.

— Uspokój się pani! nic się nie stało. Czyś pani zapomniała o mych lekcjach z panną Stasią? Prawda, że powietrze dzisiejsze nie jest do tego odpowiedniem! lecz tak przyzwyczailem się o tej porze wychodzić, że mimowoli już to czynię. Interes na tem nie cierpi, bo Henryk zostaje.

— Zanadto znam dobrze pana, by nie wiedzieć, że to długie tłumaczenie jest jednym dowodem więcej słuszności obaw jakie czuję od chwili, gdy pana spostrzegła. Wiesz pan, że jestem silną, mów proszę wyraźnie, gdyż to domyslanie jest męką dla mnie. Wszakże Henrykowi nic się nie stało?

— Nie! dzięki Bogu.

— A więc dzieci moje! czy — dostałeś pan jaką od nich wiadomość?

— Ale z kądże to przypuszczenie? pozwól pani że, wezmę doróżkę prędzej będziemy w domu.

— Panie Ignacy na miłość Boga! wszakże żyją.

— Są cokolwiek cierpiący — nic nie znaczące lekkie przeziębienie.

Chwilę patrzała nieprzytomnie na niego — potem z okrzykiem — ach ich już pewnie niema — upadła zemdlna.

Szczęściem doróżka stanęła przed niemi — wsadził ją więc do powozu i zawiózł do domu, złorzecząc sobie, iż nie umiał inaczej to powiedzieć, lepiej przygotować.

Niezwyčajny był to widok dla całej służby, gdy niemą bezwładną wniesiono ich panią, którą zawsze tak silną widzieli. Wszyscy potracili głowy; napróżno biedny Ignacy oglądał się za kimś mogącym zastąpić go przy chorej. Majestatyczna panna Anna płakała łamiąc ręce, sądząc zapewne, że tem daje największy dowód przywiązania do swej pani. Jan osłupiały patrzył na bezwładną postać rozciągniętą na łóżku, będąc pewnym, że to śmierć zamknęła jej oczy, kucharka zaś stała opodal, kiwając filozoficznie głową i obcierając fartuchem niby to zroszone łzami oczy. Nagle stanęła przed nim blada jak chusta Stasia.

— Panie Ignacy, rzekła drżącemi usty, co mam robić, pan musisz iść po doktora i uwiadomić pana Starzę.

Nie uważając nawet na jej drżącą postać i słowa energiczne, zawołał:

— Przedewszystkiem rozpedź pani tych ludzi — a potem siądź tu a ja jadę po doktora.

— Mój drogi Janie — rzekła Stasia nachylając się nad osłupiałym sługą, biegaj po doróżkę, trzeba nieść pomoc biednej waszej pani — a wyprawiwszy go i zamykając drzwi

przed nosem kucharki — panno Anno — zawołała — proszę mi pomódz rezebrać panią!

Ignacy widząc wracający porządek nie czekał dłużej, zlecił nacierania i znikł za drzwiami.

Gdy lekarz przybył chora jeszcze nie przyszła do siebie, mimo nacierań i soli trzeźwiących jakich Stasia nie żałowała.

— Czy pani jesteś krewną pani Gockiej? zapytał.

— Nie, jestem zupełnie obcą.

— W takim razie nie mam co ukrywać. Stan chorej jest groźny, wkrótce obudzi się z tego omdlenia, lecz zapewne nieprzytomna w silnej gorączce, choroba ta wymaga bezustannej długiej pielęgnacyi, dla tego chciej się pani wy starać o kogoś uzdolnionego, albo lepiej ja przyślę.

— Nietrzeba, ja sama będę czuwać nad nią.

— Zdaje mi się, że nie podołasz pani temu, zresztą zobaczmy!

Stasia nie mogła pojąć co spowodowało tak nagłą chorobę, przed godziną widziała ją silną zdrową jak zawsze wychodzącą na miasto. Dopiero w wieczór powiedział jej pan Ignacy, iż obaj chłopcy pomarli prawie jednocześnie na jedną z tych groźnych, a nagłych słabości dziecinnych. Pierwsi padli ofiarą wybuchającej w zakładzie epidemii.

Wszyscy troje siedzieli przy chorej, a najbardziej wzruszonym był Ignacy.

— Odejdź pan, prosiła Stasia, ja tu będę czuwać, do rana, jesteś pan prawie nieprzerwanie na nogach, spocznij pan trochę.

— Trwoga nie da mi odpoczywać! zresztą czyż pani, i Henryk, dodał spoglądając na pana Starzę, jesteście mniej znużeni? osobiwie pani tak młoda, tak nieprzyzwyczajona, do tego!

— Zdaje się tak panu! czyż i mnie nie nawiedziło nie-szczęście, czyż nie straciłam ukochanego ojca? pochyliła gło-

wę w milczeniu, gdy ją głośniejszy jęk chorej powołał do łóżka.

Niedawno położony łód, topił się na gorącej jak ogień głowie. Drżącemi rękoma odmieniała okład, jak już może dziś po raz setny. Od nieustannej opieki, od częstego odmieniania okładów, mówił lekarz; zawisło życie chorej. Panna Anna okazała się zupełnie niezdolną do pielęgnowania, mówiła, że jej tkliwe serce nie może się patrzeć na cierpienia tak dobrej pani. Stasia więc sama czuwała nad chorą. Stan jej z każdą chwilą stawał się groźniejszym, gorączka się wzmagала, milczący i smutny pan Henryk nie opuszczał ani na chwilę pokoju, a biedna Stasia ze łzami w oczach błagała Boga o utrzymanie życia, do niedawna obojętnego jej zupełnie, lecz dziwną wartość nabierającego w jej sercu, odkąd stanęła nad łóżem bezwładnej i jak dziecko nieświadomej siebie Michaliny.

Piątą noc już siedziała pochylona nad chorą, odmieniając co chwila okłady i poprawiając poduszki, rzucaniem nieprzytomnej zmięte. Drobne jej ręce sine były i popuchnięte od ciągłego kręcenia i teraz maczając je w zimnej wodzie drżała od bólu i zimna.

— Na to już dłużej nie zezwolę — rzekł cicho z przyciskiem pan Starża zbliżając się do chorej — musisz pani to Annie kazać robić.

— Ale kiedy ona powiada, że nie umie się z tem obchodzić!

— Ja ją nauczę — a dołączając czyn do słów zawołał z cicha: Panno Anno, a gdy się subretka zjawiała — oto miednica proszę prędko wykręcić ręcznik bo ten już gorący.

Onieśmielona dziewczyna w milczeniu wypełniła zlecenie.

— Panna wybornie to robisz, zawołał pan Starża z pozornem zadowoleniem, proszę więc tu usiąść i często zmieniać od tego zawisło zdrowie pani!

Lecz naturalnie kto tego nie robił po odwróceniu się panna domu, to panna Anna: Stasia zanadto była delikatną i dobrą, by oskarżać dziewczynę, sama więc napowrót wzięła się do odmieniania, tę tylko mając ulgę, że gdy pan Henryk był w pokoju, panna Anna z wielką troskliwością uwijała się koło chorej.

Dopiero dnia dziesiątego przyrzekł lekarz przesilenie choroby, ileż do tego czasu niespokojnych nocy, w trwodze spędzonych dni.

Przymuszona przez pana Starżę, Stasia codziennie na kilka godzin udawała się do swych pokoików aby wypocząć lecz nie mogąc spać, wymykała się do ogrodu. Tu często spotykała z niepokojem i rozpaczą chodzącego pana Ignacego.

— Ona żyć nie będzie, mówił załamując ręce i to ja ją zabiłem — ja który...

Wówczas Stasia swoje małe rączki kładła na jego dłoniach i słodkimi słowy starała się ukoić rozpacz biednego człowieka, który już prawie niebył podobnym do siebie, tak go przygniatały te dnie trwogi i niepewności.

— Czyż pan chciałeś tego? wszakże właśnie może ze zbytku obawy, jak przyjmie to nieszczęście przyspieszyłeś poznanie onegoż. Ta słabość już w niej od kilku dni tkwiła ostatnimi dniami okazywała się zmienioną, tak wrażliwą niespokojną, może to było przeczucie serca matki a może słabość, która się już w jej organizmie gnieździła!

Z głową schyloną, słuchał słów tych p. Ignacy i stawał się spokojniejszym.

— Ach jak pani jesteś dobrą! daj Boże, by ci życie odwdzięczyło się za to!

Wreszcie nadszedł ów straszny dziesiąty dzień. Od rana już siedziała Stasia przy chorej, śledząc każde jej poruszenie, każde niemal westchnienie, zbliżał się wieczór a stan jej pozostał ten sam. Od dziesięciu dni nie zmrużyła oka i teraz leżała

z otwartemi oczyma z czerwonymi plamami na wychudłej twarzy.

Pan Henryk stał nieruchomy u nóg chorej a biedny Ignacy z zaciśniętymi rękami opierał się prawie bezwładnie o drzwi.

Przybyły lekarz oświadczył, iż jeśli do dziesiątej nie uśnie, niema nadziei utrzymania jej życia.

Chwile takie mają coś straszego i groźnego zarazem, choćby to był ktoś obojętny; o ileż więcej gdy z tą osobą ostatni węzeł z przeszłością rwie się jak dla Henryka, lub gdy sumienie nam wyrzuca, że z naszej winy, nieroztropności lub braku uwagi, to życie się łamie. Nigdy nie zapomniał Ignacy tych wskazówek zegaru powolnie posuwających się, tego w cień pogrążonego pokoju i tej bezwładnej bladej kobiety z każdą chwilą zda się tracącej ze świadomości i życia. Jeszcze kwadrans do dziesiątej, jeszcze dziesięć minut, jeszcze pięć! czy go wzrok myli? czy naprawdę te wielkie pałające oczy zamykają się po trosze, czy byłby to sen zbawcą, czy — boi się pomyśleć.

Zamknął oddech w piersi, żadnem poruszeniem nie chce spłoszyć tego gościa upragnionego — wzrok tylko sili się przebić ciemności! Nagle lekka postać zbliża się do niego — czy to duch zmarłej? bierze go za rękę wyprowadza do drugiego pokoju i szepce do ucha:

— Uratowana!

Rekonwalescencya chorej postępowała bardzo powolnym krokiem, była rozdrażnioną, wymagającą, a nikt jej tak nie mógł dogodzić jak drobne rączki obcej dziewczynki; nie opuszczała jej też prawie. Pani Michalina była zadowolniona, gdy ją w pokoju widziała, gdy wzrok jej mógł co chwila spooczywać na bladej taką dobrocią i cierpliwością nacechowanej twarzyczce. W słowach jednak nigdy nie wypowiedziała wdzięczności, zdawało się, iż uważa to za obowiązek, by za gościnność odpłacała poświęceniem, nieustannymi trudami i często bezsennymi nocami.

Razu jednego, gdy Stasia jak zwykle siedziała przy łóżku na niskim stołeczku i czytała ulubione pani Michaliny kazania ks. Skargi, rzekła nagle chora:

— Ty wiesz Stasiu co było powodem mojej słabości?

Młoda dziewczyna podniosła przerażone oczy, obawiała się wyjawienia prawdy, powrócenia pamięci, która jak jej się zdawało, dobroczynnem przytępieniem do czasu zablizniała rany.

— Nie rób takiej przerażonej miny, przez całą słabość, ani na chwilę nie opuściła mię świadomość mej straty, niepoznawałam i niewidziałam was, lecz moi chłopcy, moje drogie dzieci, stały mi ciągle przed oczyma!

— O droga pani nie wzruszaj się! jesteś jeszcze tak słabą.

— Nie jestem ja z tych mglistych, tobie podobnych stworzeń! Przyzwyczajoną jestem odważnie kłaść sonde w mą ranę, to też i opowiadanie o mych skarbach utraconych zaszkodzić mi nie może. A gdyby i zaszkodziło? czy myślisz, że się cieszę tem powracającym życiem, cóż mi po niem, czy mam cel jaki?

Za młodą była dziewczyna, do której te słowo wymówiono, by podać lekarstwo na ból tak straszny, to też tylko lży niemego współczucia napełniły jej oczy.

— Poczciwem jesteś dzieckiem Stasiu, rzekła chora wpatrując się w nią długo i bacznie, czy nie tęskno ci za ogrodem, za niebem i kwiatami, które tak lubisz?

— Nie pani skoro widzę cię cierpiącą a mogę pani choć cokolwiek mą obecnością ulżyć!

— Zarozumiałe stworzenie! czy sądzisz, że twoja osoba, pozwoli mi o mych dzieciach zapomnieć? idź idź zawołaj mi tu Annę ona równie dobrze potrafi uspić mnie swem czytaniem.

Zasmucona Stasia wstała, by wypełnić rozkaz, gdy wzruszona jej powolnością chora zawołała.

— Przebacz mi mała! przebacz Stasiu, gdy pomyślę, żem sama na świecie, taki ból serce me targa!

Sceny podobne powtarzały się często i choć nieprzeszkadzały chorej w powolnem jej przychodzeniu do zdrowia, biedną Stasię nieskończenie męczyły. Przy jednej z podobnych był świadkiem pan Starża, a gdy porywcza kobieta prosiła o przebaczenie, rzekł chmurnie.

— Lepiej zrobisz Michalino wyprawiając pannę Stasię na przechadzkę, zadzwoni na Annę a ja wyprowadzę naszą małą siostrę miłosierdzia.

Panna Anna z wielkim niesmakiem czytywała swej pani, zatopionej w myślach czy w modlitwie — tętent koni pod oknami sprawił nader upragnioną przerwę. Pobiegła do okna wychylając się.

— Co to? zapytała niespokojnie pani Michalina.

— To ta mała cyg... panna Stasia jedzie z panem Ignacym na spacer.

— Z Ignacym?

— Tak jest! oho, ho, to ptaszek! Ale coż tak wszyscy w niej zaslepieni, że trudno człowiekowi się odezwać. — Albo to ona piałęgnowała panią! Mój Boże czyż ja, która tyle lat tu jestem, nie byłabym nad panią z radością czuwała? Lecz czyż mnie dopuściła? wszyscy pod niebiosa wynoszą jej poświęcenie, jej tklivosć, a ja tylko jedna wiem dla czego to czyniła.

— Moja Anno dajże pokój, i ja nie bardzo byłam jej chętną, lecz teraz widzę, że to dobre stworzenie!

— No naturalnie, jeśli pani tak sądzi, to nie powiem. Nie powiem jak jest przebiegłą mimo swej młodości, jak na każdego mężczyznę zarzuca zręczne sidło — jak tu z naszym panem przesiadywała i niby to rozpadała się nad panią, a gdy pan widząc w jej twarzy najmniejszą zmianę wysyłał ją na spoczynek, zamiast do swego pokoju, jak wychodziła do

ogrodu i całemi godzinami z panem Ignacym po alejach się przechadzała. Zapewne robiła to ze zmęczenia, a te długie rozmowy i śmieszki zapewne z troskliwości o panią i z boleści nad jej cierpieniem.

Zazdrość, straszną i nagłą stratą stłumiona obudziła się z całą siłą w osłabionym i nieumiejącym tyle co za zwyczaj panować nad sobą organizmie. Niechęć jej do dziewczęcia, ciągle w sercu tlejąca, znalazła usprawiedliwienie; powstrzymując się jednak ostatnim wysiłkiem woli rzekła drżąca:

— Przewidzenia własne, bierzesz za prawdę nie lubisz małej i dla tego różne w niej wady wynachodzisz.

— O tak widzę ja do czego już przyszło, wiernej słudze nie wierzy się, pogardza się jej radami i przestrogi. Mój Boże ja sądziłam, że jeszcze raz ujrzę szczęśliwą moją biedną zgnębianą panią, a tu . . .

— Et daj pokój nic niewidziałas!

— Niewidziałam? a któż widział? Własnymi oczyma patrzyłam z okien garderoby, jak się przymilała do pana Ignacego, jak mu rękę co chwila podawała, jak się u ramienia jego wieszała. Wstyd nawet, bo to takie młode, a już we wszystkich przewrotnościach biegle.

Umilkła zasapana — a po chwili widząc swą panią nieruchomą wymknęła się cicho, by jak mówiła nie przeszkadzać jej w spoczynku!

Lecz daleką była ona do niego, w niemem cierpieniu i gniewie rozbierała usłyszane słowa.

Muszę być zdrową, muszę wstać, czuję już w sobie dostateczne siły! za długo byłam względną, za długo zostawiałam wolne pole tej małej intrygantce, odtąd chcę walczyć o każde jego słowo, o każde spojrzenie!

Można myśleć jakie przyjęcie spotkało szczęśliwą i rozradowaną długą przejażdżką Stasię. Na jej troskliwe pytania dostała odpowiedź, że nic nie potrzebuje, tylko spokoju, że spodziewa się już jutro wstać i zejść do sali.

Te ostatnie słowa pocieszyły Stasię, musi jej być znacznie lepiej, i dlatego niepotrzebuje mej pomocy.

Namiętność zacierająca pomалу ślady bolesnej straty, wlewająca nowe życie w zniechęcone i zmartwiałe serce, pragnienie zemsty nad nmiemaną rywalką, prędzej przyprowadzały do zdrowia panią Michalinę, niż wszelkie lekarstwa i czuła dotychczasowa opieka. Wracala pomalu do pierwotnych sił, a nawet jej twarz boleścią i chorobą wynędzniała, nabrała dawnego wdzięku i świeżości.

Biedna Stasia nierozumiała zupełnie pałającego nieraz w nią utkwionego spojrzenia, gdy się dały słyszeć kroki pana Ignacego lub pełne goryczy i gniewu słowa, gdy swobodnie i wesoło z nim rozmawiała,

Ostatnie dni sierpnia mijały, a tem samem zbliżał się wyjazd pana Skiby. Wkrótce po rozmowie na łączce nastąpiła choroba pani Michaliny, podczas której samotny i od wszystkich zapomniany, oddawał się całemi dniami namiętne-mu czytaniu; czasem śledził ze swych okien przechadzki młodej dziewczyny, częściej na jej widok odwracał się chmurny i gniewny. I teraz spotkawszy ją przypadkowo obojętnym ukłonem przeszedł koło niej, lecz w tej samej chwili wrócił się spieszenie i zajął miejsce na ławeczce obok tej na której Stasia siedziała.

— Miesiąc już minął jak nie mówiłem z panią, rzadko nawet ją widziałem, miesiąc życia, który mógł tak przyjemnie spłynąć rzekł Skiba.

— Pani Gocka była w bardzo niebezpiecznym stanie, dzięki Bogu dziś jest już prawie dobrze, jednak zawsze jeszcze wymaga wielkich starań a ztąd moja nieobecność.

— A pani się poświęcasz! w jakiejże to myśli proszę pani?

— Nierozumiem pana w jakiejże innej, jak nie ze serdecznego współczucia.

— O nie! są różne uboczne, tylko pani nienauczona zastanawiać się nad sobą, nie umiesz ich poznać. Pan Starża

np. czy niema w tem żadnego udziału? Czyż nie jego to siostrę pielegnujesz pani, nie spędzał on razem z panią dnie całe w jej pokoju?

— Spędzał, powiedz pan, gdy jeszcze było niebezpieczeństwo, teraz już nie! pocziwy pan Starża mój wierny, jedyny przyjaciel!

— Jedyny? naturalnie, bo syn chłopca może tylko wzdychać do tego zaszczytu, o panno Stanisławo ileżes mi złego zrobiła! a zakrywszy oczy wybuchnął głośnem urwanem łkaniem.

— Na miłość Boga co panu — zawołała Stasia zapominając o swej obawie jaką mimowolnie od ostatniej rozmowy względem niego czuła — uspokój się pan, czy obraziłam czem pana, jeśli tak to przepraszam, to pewnie mimowolnie.

— Pani mnie przepraszasz, rzekł odejmując rękę od oczu i patrząc na nią palającemi oczyma — nie cofaj twej ręki, niech chociaż na krótko zostanie w mej dłoni. Nie bój się pani, ja wiem, że ona nie dla mnie, że to uczucie niezaspokojone życie goryczą napełni i popchnie do grobu, lecz pozwól mi to co innym bez prośby wolno, pozwól mi patrzeć w twoje oczy, czytać w nich obietnice. których nigdy dać nie mogą pozwól pomarzyć, żeś moją, że nie odwracasz się ze wstrętem od mej ogorzałej twarzy i rąk spracowanych. O jabym cię tak kochał, jabym cię na rękach nosił, byłabyś mą przewodnią gwiazdą. Dobroć twego serca rozświecałaby mi tajniki życia. Chatę ojca, która jeszcze na pół rozwalona stoi, naprawiłbym własnemi rękami i do niej wprowadziłbym cię, zdala od ludzi i od tego co oni towarzystwem nazywają. Jej czarne ściany rozświeciłoby słońce twego spojrzenia, byłabyś w niej szczęśliwszą niż nie jedna wielka pani, bobyś miała wierne serce, któremubys życiem była, wybuchnął Skiba gorącemi słowy.

— Pan marzysz! puść mnie proszę.

— Cha, cha, cha! marzę! Tak jest to było marzenie, a teraz posłuchaj rzeczywistości. Kocham cię! z całą namięt-

nością niezeepsutej chłopskiej natury; kocham tak, że gdybyś mogła zajrzeć do mego serca, cofnęłabyś się ze zgrozą przed tym ogniem co tam wre. Samaś się pierwsza do mnie zbliżyła, samaś mnie przyciągała, a dziś bledniesz przed wyznaniem? Cóżbyś powiedziała widząc ile walk stoczyłem z tą hydrą co miłością zowią, ile razy przeklinałem ciebie i złorzeczyłem chwili mego tu przybycia.

— Przestań, pan przestań, bo mi serce rozdzierasz, nie gniewam się na pana, tylko go z głębi duszy żałuję. Jeśli zawiniła bawiąc się z nim bezmyślnie to przebac mi, jeśli prawda, że mnie pan kochasz, zapomnij o mnie! bo ja nigdy, ani na chwilę nie pomyślałam o panu inaczej jak o dobrym znajomym. Jeśli pan mi nieprzebaczysz to i ja wiecznie wyrzucać sobie będę, że przez mą lekkomyślność ściągnęła smutek na pana, którego życie i tak lekkim nie jest.

— Miałem niesłuszną obwiniając panią — rzekł powoli patrząc na nią z boleścią — jesteś dzieckiem i jak dziecko ranisz nie wiedząc o tem! dziś wyjeżdżam — nie zobaczymy się więcej, drogi naszego życia nigdy się nie skrzyżują — z głębi serca przebaczam pani żeś mnie używała za chwilową rozrywkę, gdy ja szalony...

— Czy nic dla pana uczynić nie mogę?

— Nie płacz pani! i — nie miej żalu do mnie za chwilowo zakłócony spokój — niestety zapomnisz mię pierwej nim te na pół żółtkłe liście opadać zaczną; lecz to i lepiej, będziesz szczęśliwszą — obyś nią była!

— A gdybym potrafiła uleczyć pana.

— Nie pragnij pani tego, uczucie miłości choćby wzgardzonej stokroć jest słodsze, niż nienawiść, a ja o tem mówić mogę. Ja w którego piersi tyle nienawiści mieszka — Bądź pani zdrowa, cokolwiek nastąpi nigdy nie zapomnę dziecięcia o czystem sercu i niesplamionej duszy.

Poszedł! ach jakże mi go żal — i on, on wydał mi się śmiesznym? o teraz tego nie widzę tylko głębokie współczucie; niestety! pomódz mu nie mogę, a najlepiej, gdy go już

widzieć nie będę. — I to jest miłość! żadnej mi radości nie sprawiła, tylko ból i smutek, a ja marzyłam, że to tak pięknie — nigdy już więcej nie zapragnę słyszeć oświadczeń miłości rozumowała nasza mała znajoma.

W kilka dni po tej burzliwej rozmowie, siedziała Stasia na swej ulubionej kanapce patrząc na dalekie pasmo gór i myślała o tym który z bólem serca opuścił te miejsca mające mu służyć za wytchnienie. Jesień polska nasza roztaczała w koło niej swe wdzięki — niebo spokojne blade jakby przyćmione — nici pajęczyny snujące się po powietrzu — liście ze smutnym szmerem od czasu do czasu spadające na ziemię, wszystko podnosiło w niej tę mimowolną tęsknotę, potęgowało to uczucie rozrzewnienia. Lecz wkrótce posłyszała znajome kroki. W jego obecności wszelkie smutki znikwały, ożywcze ciepło rozgrzewało całą jej istotę, a tak czuła się swobodną i radosną, że nie pojmowała, jak mogła tęsknić przed chwilą, lub brać tak do serca przycinki i surowe obchodzenie pani Michaliny.

— Znowu patrzysz pani na te góry, czy rzeczywiście tyle w nich wdzięku widzisz pani? Zapytał p. Starża

— Tak jest, rzekła podnosząc uśmiechniętą twarzyczkę, ale tylko zdaleka.

— Jakto zdaleka? nie chciałabyś je pani zwiedzić — są rzeczywiście śliczne, pełne grozy i wspaniałości, czy wiesz pani jak się nazywają te szczyty?

— Tatry zapewne!

— Tak jest! Na przyszłe lato zrobimy tam wycieczkę.

— Aż na te szczyty?

— Tak na te szczyty — o których mówi Asnyk:

Na szczytach Tatr, na szczytach Tatr,

Na sinej ich krawędzi

Króluje w mgłach świszczący wiatr,

I ciemne chmury pędzi.

Rozpostarł z mgły utkany płaszcz,
I rosy z chmur wyciska
A strugi wód z wilgotnych paszcz,
Spływają na urwiska.

— Ileż w tych słowach poezyi! Prawda panie Henryku, że tylko poezya podnosi i uszlachetnia ludzi.

— Nie zawsze i nie wszędzie, jeśli pod poezją rozumie pani wierszowaną mowę. Równą poezją jest wiedza, jest nawet i praca i obowiązek, zależy to od człowieka.

— Wiedza? Teraz pragnę gorąco umieć dużo i wiele się uczyć. Czy mi pan pomoże?

— Dam pani historyka — poetę, on panią nie znudzi obrazami jego pełne prawdy, wdzięku, świeżości mogą równie zając umysł dojrzały w walkach życia zahartowany, jak świeży i młodziutki jakim jest pani. A przytem wyobraźnia twoja nie będzie mogła bujać tak swobodnie, bo jakkolwiek wdzięczne są obrazy mistrzowską ręką Szajnochy kreślone, są one jednak w ścisłych granicach zamknięte.

— Nie mów pan nic na wyobraźnię, cóż bym bez niej zrobiła? ona to złoci mi każdą chwilę, przez jej pryzmat wszystko tak wdzięczne kształty przybiera, za jej pomocą i krzywdy poniesione nie wydają się ciężkie i tak łatwo je się wybacza!

— Niestety! moje dziecię, młodość to, jest ową Letą w której pamięć trosk i boleści się zatapia; ona to jak owa wróżka cudowna, stawia przed oczy nasze coraz bogatsze, świetniejsze widoki, że o nędzy i sobkostwie ludzi zapominamy tak chętnie. Szczęśliwy! kto ją długo może zachować! szczęśliwy czyje serce i duch nieśmiertelną młodością kwitnie, chociaż więk posrebrzy mu włosy, a walki życia wyrzują bruzdy na jego czole. Pani będziesz do tych nielicznych wyjątków należyć i chociaż burza, która nikogo nie mija zasłumi nad tobą, twoja wiara w ludzi i piękno zawsze pozostanie niezmienną.

— Nie smucę się tem wcale chociaż nie wierzę w bu

rzę, bom jej dotąd nie doświadczyła, jednak wolę mieć w perspektywie opieranie się jej, jak bierne poddanie.

— O biernem poddaniu mowy niema u pani, wiem, że w tem delikatnem ciałku mieszka duch nieposkromiony, dlatego może tyle ma wdzięku dla mnie.

— Jak pan się małym zadawałniasz — zawołała Stasia z uśmiechem kiwając główką — kiedy takie wdzięki upatrujesz we mnie. Nigdy nie słyszałam tyle pochlebnych epitetów; jestem rusałką, mam ducha pełnego wdzięku, choć Bogiem a prawdą niewiem jak duch może wdzięki posiadać, przywilej na wieczną młodość, muszę za to panu głębokim ukłonem podziękować tak jak mię uczono na godzinie tańców!

— Zawsze niepoprawna! odparł pan Starża trochę zachmurzony z lekkim westchnieniem, wszystko obraca w śmiech i pustotę!

— Wolałbyś pan łyż?

— Niech Bóg broni! zostań pani zawsze taką z innymi, ale zemną pragnę, żebyś czasem była trochę poważniejszą — trochę głębszą.

— Co za egoizm!

Był to jeden z owych wieczorów, w których wiatr huczy, deszcz bije o szyby i spływa z cichym pluskiem po rynnie a szare niebo jakby gniewnie patrzy bez uśmiechu na ziemię. Pani Michalina siedziała sama przed płonącym w salonie kominkiem — pan domu wyjechał, Stasia wymawiając się bólem głowy została w swoim pokoju, by się nie narażać na zimne słowa i zimniejsze spojrzenia pani Michaliny, potęgujące się ile razy były same. Piękna kobieta siedziała zadumana pracowite ręce założywszy na kolana, twarz jej zimna nie zdradzała uczuć, lecz uśmiech błakający się niekiedy po ustach wskazywał, że nie były one smutnej natury. Liczyła dowody przywiązania pana Ignacego jakie spostrze-

gła ostatnimi czasy, a które pilnie zapisywała w swej pamięci — jego przelotne spojrzenia, słowa niedokończone a wyrywające mu się mimowoli — jego pomieszanie, gdy czasem niespodzianie stanęła przed nim. Nagle drgnęła — z daleka już usłyszała znajome kroki, do pokoju wszedł pan Ignacy a zamieniwszy powitanie z panią domu oglądnął się za dziewczęciem, które zdawało mu się uzupełnieniem ciszy i pokoju jaki po ciemnej ulicy i pełnym gwaru zamieszania w sklepie tak mile go witał na progu tego domu.

— Szukasz pan Stasi? odezwała się pani Michalina nie mogąc przewyciężyć cierpkości głosu.

— Tak jest — odparł zabierając przy kominku miejsce — czy nie słaba, ona tak nie lubi samotności!

— Doprawdy? widać jak ją pan studyujesz, bo ja chociaż dłużej z nią jestem nie zauważałam tego — jest to stworzenie z samych kaprysów złożone i zdaje mi się, że zanadto wszyscy się nią zajmują, zanadto ją tem psują.

— Wszyscy prócz pani!

— Co pan przez to rozumiesz — zawołała z gorącym rumieńcem wyniosła kobieta.

— To, że pani nie masz słuszności — rzekł zbliżając się do niej i biorąc jej rękę — biedne dziecię nie domyśla się nawet o co ją posądzasz, a ja cię kocham jak kochałem! wrosłaś mi tak w serce, że najbardziej uroczą postać nie jest w stanie wyrugować cię z tamtąd. Milczałem tak długo, dlatego jedynie, że początkowo bałem się by niebyć znowu jak niegdys odepchniętym, a potem, gdy mi się zdawało, że jużbyś mną nie pogardziła, nie chciałem przerywać twej żaloby i bóleści po dzieciach. Stasię lubię, gdyż jest ona w mych oczach uosobieniem czystej i nieskalanej żadnymi naleciałościami duszy, taką jaką z rąk Stwórcy wyszła, lecz kochanką mej młodości równie jak wieku dojrzałego pozostaniesz ty Michalino!

Wreszcie wymówione zostały słowa, o które się modliła, które pragnęła, całem namiętnem pragnieniem swej duszy.

Radość i smutek ścisnęły równocześnie jej serce, wiedziała, że usta te nigdy jeszcze nie skłamały, że gdy mówił, że ją kocha, ją jedynie, tak było w rzeczywistości, a jednak przstraszało ją owo wiotkie małe dziewczę, które jak cień niepochwytny cisnęło się między ich serca tak długo rozdzielone i nawet w tej chwili uroczystej myśli swe między nie obie dzielił.

Lecz, gdy głowa jej tak długo sieroca spoczęła na jego zacnej piersi, gdy ucho jej uderzyły słowa głębokiej miłości, a oraz względności i przebaczenia dla bliźnich, gdy objawwszy ją ramieniem w tym cichym półroczym pokoju, opowiadał jej o nieustannej troskliwości i czułości dziewczęcia w jej chorobie, o pociesze i odwadze jaką mu dodawała, gdy zdjęty trwogą utraty kochanki swej młodości i targany wyrzutami sumienia, iż sam zerwał tę drogą nić życia ulegał prawie tym cierpieniom; wówczas uczuła krzywdę jaką popełniała i poprzysięgła sobie w sercu odplacić to serdecznem uczuciem biednej sierocie.

Nazajutrz wstawszy rano, promienna i piękna jak nigdy szczęściem, które całą jej istotę przenikało, udała się pani Michalina do Stasi by wynadgrodzić zaniedbanie i niechęć jaką jej ostatnimi czasy okazywała. Zastała ją już ubraną w zamyśleniu pogrążoną.

Tak mało znała uczuć i objawów tychże, że na myśl jej nie przyszła prawdziwa przyczyna jej obchodzenia. Zresztą już tak dawno przestała myśleć o panu Ignacym inaczej jako dobrym przyjacielu, tyle miała zajęcia sama ze swem małym serduszkim, że zupełnie nie uważała co się w koło niej działo. Często niemile uderzyło ją ostre słowo pani Michaliny, osobliwie, że od jej słabości szczerze się do niej przywiązała, czasem ją zabolalo dumne i chłodne tejsze obejście, lecz pan Henryk umiał zawsze wszystko załagodzić, wyrównać, że młoda dziewczyna nie mogła czuć żadnej goryczy do jego siostry.

— Cóż to tak rano i już na nogach? zawołała zaraz

w progu z serdecznym uśmiechem pani Michalina, przyszedłam się dowiedzieć czy ból głowy minął?...

— Dziękuję pani, rzekła Stasia powstając, minął bez śladu, czy pan Starża powrócił?

— Nie! lecz nie o tem chciałam mówić, czy wiesz Stasiu jaki jest jeszcze powód mego przybycia? oto chcę zawrzeć z tobą sojusz przyjaźni, ażeby zaś ukarać siebie, a oraz wyświecić dlaczego byłam dotąd tak dla ciebie niedobłą, wyznam ze wstydem, żem ci zazdrościła.

— Mnie!

— Tak jest! zdawało mi się, że Ignacy czuje dla ciebie coś więcej niż przyjaźń — dlaczegoż się tak czerwienisz?

— Tak mi się to dziwnem zdaje, żeś mogła pani tak piękna; być zazdrosną o mnie.

— Chwała Bogu, że nie dlaczego innego, bo ci mam oznajmić, tobie pierwszej, żem od wczoraj narzeczoną Ignacego.

— Czy być może! jakże się z tego cieszę — zawołała młoda dziewczyna rzucając się na szyję pani Mihaliny, nie odtrącającej jej już teraz, lecz w serdecznym uścisku garnącej ją do siebie. Wierz mi pani z całego serca się cieszę oboje jesteście tak piękni, jak gdybyście dla siebie stworzeni byli.

— Bo też prawie tak jest, dawno już dawno kocham Ignacego, a i on podobno nie mniej długo.

— Wiem cośkolwiek o tem — rzekła Stasia z figlarnym uśmiechem.

— Pewnie Henryk ci mówił — lecz Stasiu nie myśl bym go dla samego ubóstwa odrzuciła — ojciec nie dał mi żadnego posagu wszystko synowi przekazując, on był ubogim nie chciałam więc skazywać go na walkę z nędzą. Powiedziałam mu też to jeszcze przed laty, gdy mi się oświadczył, choć Bóg widział ile mię to przewyciężenia kosztowało. Później nadeszły straszne lata, których wspomnienie dręszczęm mnie przejmuję.

Poszłam za mąż bez miłości wprawdzie, lecz z silną wolą szanowania i uszczęśliwienia tego, którego wybrałam. Niestety! wkrótce przekonałam się, że to nie możliwe przy jego charakterze, a i stosunki materyalne coraz były gorsze rzucał się w szalone przedsięwzięcia, tracił na nich coraz bardziej, nie było komu go powstrzymać, Henryka w kraju nie było a do Ignacego nie chciałam się udawać. Tak więc przyszedł niedostatek, wkrótce nędza, a potem śmierć jego własną zadana ręką.

Opowiadająca pobladła i wstrzęsła się nerwowym dreszczem.

— Droga moja biedna pani nie mów już o tem, teraz będziesz szczęśliwą — szepnęła Stasia przytłumionym głosem, ściskając zimne ręce kobiety w swoich.

— Dobrze, dobrze dziecko! Prawda! na co te wspomnienia, wszystko jak sen minęło ach! i życie moich chłopców. Całą noc myślałam o nich, czy wiedzą, że ich matka zaczyna prawie życie na nowo, czy mi to przebaczą, czy nie mają żalu do mnie.

— O pani! tam gdzie oni są, niema ani żalu, ani gniewu. Jeśli cię widzą to pewnie z radością, że i ty zaznasz trochę szczęścia.

— Dziwna, że ja przed tobą dzieckiem prawie odkrywam tajniki mej duszy, ja którą wszyscy za skrytą i zamkniętą w sobie uważają.

— To jest siła miłości! już długo kochałam cię szczerze, dziś i pani uleczona z niechęci oddajesz mi swą przyjaźń, a czując moje współczucie, mówisz mi więcej niż komukolwiek co mię bardzo dumną i szczęśliwą czyni. Jakże się ucieszy pan Starża widząc tak dobre porozumienie między nami.

— Poczciwy Henryk! jemu zawdzięczam moje szczęście gdyż on przez udzielenie mi spadku po ojcu wbrew jego woli umożliwił mi i wyrównał dalsze życie.

— O to było naturalne, wiem, że i pani postępowała byś podobnie.

— Być może moje dziecię — lecz jakżeż mało równie szlachetnych braci znalazłoby się. Jakkolwiek był to akt sprawiedliwości jednak żyjąc dłużej poznasz, do jak rzadkich czynów on należy.

Dopiero przy herbacie żdziwieni domownicy dowiedzieli się o zmianie jaka w domu nastąpiła, mianowicie, że pani Michalina szła za męża. Pan Starża który kilka godzin przedtem przybył wniósł starem winem zdrowie państwa młodych a w słowach jego skierowanych do pana Ignacego drgało serdeczne uczucie i głęboka przyjaźń. Mówił, że dawno już pragnął swą jedyną siostrę widzieć połączoną na zawsze z przyjacielem, który mu był więcej niż bratem, pociechą w zwątpieniu i niezmordowanym pracownikiem. Dostatek co mnie otacza, to szczęście głębokie iż darami fortuny mogę się podzielić z bliźnim tobie zawdzięczam Ignacy i nigdy ci tego nie zapomnę jak podczas mojej długiej nieobecności pracowałeś energicznie i uczciwie nad moim majątkiem. Z całej rodziny pozostała mi jedna siostra i tę ci oddaję z radością i zaufaniem. Z rozrzewnieniem słuchała Stasia słów tych gorących, a ściskając rękę pana Ignacego szepnęła.

— Jakżem szczęśliwa, że osiągnąłeś pan cel swego życia!

Ostatnie nieporozumienie, ostatnia przykrość znikły z pojednaniem i przyjaźnią pani Michaliny, odtąd płynęły dla Stasi dni pełne radości i niczem nie krępowanej swobody. Niewiedziała kiedy minęła jesień, kiedy śnieg zasypał ziemię i zaledwie wierzyła siedząc przy okie pewnej niedzieli po południu i patrząc na biały całun za oknem, że to już koniec lutego. Pani Michalina, której zda się wróciły lata dziewczęce tak szczęście rozświetlało twarz jej dotąd chłodną, mówiła ze swym narzeczoną układając przyszły obraz życia a oczy Stasi od okna często przenosiły się na drzwi, któremi dotąd nie wchodził pan Starża. Nagle upadł przed nią bukiet konwalii, pochwyciła bieluchne drobne kwiecie wiedząc naprzód od kogo pochodzi.

— Zaklęta panna młoda, mówił wskazując na konwalie

przychodzi rozweselić samotność pani w ten smutny dzień zimowy.

— Moje biedne małe kwiatki, z kąd je pan wzięłeś o tej porze?

— Zateśniły za panią pod swą śnieżystą zasłoną! Nie powinnoż stanowić wyjątku dla małej czarodziejki co ich przeszłość odgadła i może je wrócić dawnemu ich życiu.

— Nie śmieć się pan ze mnie, bo nigdy nie podzielę z panem mych myśli.

— Za nadto byłbym ukarany, za tak lekkie przewinienie. Kazałem umyślnie pielegnować i sztucznie rozwinać ten skromny kwiatuszek, byś pani łacniej zapomniała o smutnej zimie; a pocieszała się nadzieją, tuż, tuż, nadchodzącej wiosny!

— Smutna zima, mówisz pan, rzekło dziewczę patrząc w zamyśleniu na śnieżny krajobraz rozściełający się za oknem, ja jej smutną nie znajduję. Te dni krótkie, ten brak ptasząt, kwiatów, wszystkiego co nas rozwesela, mają swój urok sobie właściwy. A cóż dopiero, gdy zaświeci dzień promienisty, gdy słońce odbijając się w przezroczej bieli tworzy tysięcy brylantów! U nas na wsi nieraz ojczulek żałował mnie, że się nudzę w zimie, ubolewał i zawsze projektował wyjazd do miasta na tę porę, lecz ja niechciałam bo byłam tak szczęśliwą. Raz pamiętam, ogromne zaspy śnieżne oddzieliły nas od reszty świata, dzienniki, listy, wszystko było wstrzymane, nawet na przechadzkę wyjść nie było można, bo kilka kroków za naszymi drzwiami wznosiła się góra śnieżna, a gdy się ją przebyło, dalej trochę znowu inną się napotykało i t. d. Lecz ta głęboka cisza, ta samotność bez ruchu, bez krzątań dni zwyczajnych, wywierały na mnie niepojęty urok. Zdawało mi się czasem, że z ojczulkiem gdzieś zabłąkana na pustyni i zamknięwszy oczy marzyłam o niebezpieczeństwach jakie przeżywamy, o inych dowodach odwagi jakie dają broń ukochanego ojca — szkoda, że gdym oczy otworzyła

widziałam się w ciepłym miluchnym pokoiku, samowar kipiał na stole, a ojciec wołał mnie bym mu podała herbatę.

— Dziecko! dziecko! lecz niechciałbym panią sprowadzać na ziemię i do zwyczajnych warunków naszego życia! marz jak najdłużej i bądź szczęśliwą w tych marzeniach!

— Marzyć — rzekła poważnie patrząc mu w oczy — nie! to nie jest marzeniem. Czyż odczucie piękna gdziekolwiek je widzimy, opromienienie każdej chwili naszego życia każdej naszej czynności poezyą z serca nam płynącą, może się nazwać marzeniem? Jeśli widzę piękno, tam gdzie kto inny przejdzie niepostrzeżenie, jeśli najprostsza czynność w innym świetle i barwach mi się przedstawia jak innym, a to mi nieprzeszkadza do jej wypełnienia, to nie rozczarowuj mnie pan, pozostaw mym uprzedzeniom, moim dziwactwom z którymi tak mi dobrze,

— Panno Stasiu nie zawsze jest dobrem to z czem nam jest dobrze. Gdy lata przejdą nad tobą, a każda chwila doda ci coś ze swych cierni, gdy wzrok twój dziś pełen blasku łzy przyćmią, wówczas pogasną te piękne barwy, wówczas może naga rzeczywistość stanie przed twymi oczyma. Lecz od takiej chwili chciałbym cię ustrzedz a jeśli ma przyjść taki dzień to niechaj jak najpóźniej przychodzi, bo jakkolwiek życie jest ciężkiem, a z każdym krokiem coraz cięższem się staje — jednak owa chwila, w której znikają nam ostatnie ułudy, owa chwila w której ostatnia opaska z naszych oczu spada, jest najstraszniejszą! mówił cichym, zasmuconym głosem, a spojrzenie jego oczu jeszcze bardziej przygnębiało Stasię. O jak mi żal ciągnął dalej — gdy widzę młode pełne ufności i odwagi istoty jak pani, wstępujące w szranki życia z tym uśmiechem, co mówi o nadziejach nie mających się nigdy spełnić lub które za pierwszym podmuchem wiatru spadają jak liście zwarzone.

— Więc niema szczęścia?

— Być może że dla innych niema, lecz dla pani dodał ożywiając się i biorąc małą rączkę, dla pani będzie ono świe-

cić dopóki — cóż to znaczy zapytał zmienionym głosem obracając się z niechęcią do służącego podającego Stasi elegancki bilecik — od kogoż to?

Zarumieniona i pomieszana wyjąkała.

— Niewiem.

Lecz otworzywszy dodała z wracającą swobodą i żywością:

Od Ludwika, pisze mi, że, znajduje się w przejeździe przez miasto, pragnie więc korzystać ze sposobności i odwiedzić mię; obiecuje na dzisiejszy wieczór swoją wizytę.

— I cóż pani na to? widzę, że bez wstrętu przyjmujesz kuzynka — głos jego nie był tak dźwięczny jak zazwyczaj.

— Naturalnie! dlaczegoż miałabym czuć wstręt do niego — towarzystwo jego było dla mnie zawsze miłym wyjąwszy krótkiego czasu w którym mu się zdawało, że mnie kocha!

— Zkądże ta pewność, że mu się tylko zdawało, dlaczegoż nie przypuścisz pani, że tak było rzeczywiście.

— Instynkt serca mi to mówi — a potem bardzo to trudno, bym się podobała człowiekowi z dobrym gustem, obyteму w świecie, jakim jest Ludwik.

— A więc wszyscy, którym się pani podobasz dają dowód złego gustu i małej znajomości świata?

— Niestety tak sędzę.

— Czy pani rzeczywiście myślisz, że postać pani, ta smągła twarzyczka i wielkie pełne ognia i życia oczy, są bez wdzięku?

— O wiem, że pan widzisz we mnie rozmaite zalety, które są zakryte oczom zwykłych śmiertelników, lecz nie gniewam się za to — szczęśliwa że mam takiego przyjaciela pragnę tylko — otóż i Ludwik.

Pan Starża po raz pierwszy odwrócił wzrok od twarzy — takimi czarami przykuwającej go do siebie i spojrzał na wchodzącego, z którym Stasia serdecznie, za zbyt serdecznie jak sobie mówił pan Starża, witała się.

Pan Ludwik Burski niezbyt wysoki, kształtny, biały i rumiany, z pięknymi wypieszczonemi rękami ubrany podług ostatniej mody, na pierwszy rzut oka kazał się domyślać, że jest wybornym danserem. Jakoż rzeczywiście posiadał ten talent w wysokim stopniu, a odznaczając się przedewszystkiem jako tak zwany *Vortänzer*, zapraszany i rozrywany był, jak się jego matka z zadowoleniem wyrażała, do najpierwszych salonów. Wstyd byłoby przyznać w XIX wieku, w wieku pracy, że się niczem nie zajmuje, mówiono więc, że gospodaruje. Rzeczywiście pani Burska miała zadłużoną wiosczynę, tam to zaglądał raz na miesiąc, a w czasie żniw raz na dzień pan Ludwik, a wówczas matka z westchnieniem mówiła: Jak ten biedny Ludwik pracuje, on sam zaś miał się za ofiarę przez los ściganą i obarczoną nadmierną pracą. Był czas, gdy wioska owa jeszcze nie tak bardzo obciążona długami, podobała się z położenia jakiemuś zbogaconemu bankierowi, który przeznaczył ją na letni swój pobyt i dość wysoką sumę za nią ofiarował. Lecz pani Marja, ani o tem słyszeć nie chciała. Dość wielką poniosłam ofiarę — mówiła idąc za fabrykanta olejów i o jeden stopień zesłam niżej w hierarchii społecznej. Rodzice moi posiadali wieś, od małości oddychałam powietrzem wiejskiem, później musiałam się zamknąć w mieście i zaledwie przy końcu życia namówiłam waszego ojca by spieniężywszy interes tę wioskę kupić. Zrobiłam to i dla was moje dzieci, Ludwik daleko więcej ma szansę bogatego ożenienia się jako posiadacz dóbr, niżeli mając lichych kilka tysięcy, bo między nami mówiąc zaledwie cztery do sześciu tysięcy pozostało by nam po zapłaceniu wszystkich długów i dłużków — a tak trzyma to się jeszcze aż do owej szczęśliwej chwili, w której Ludwik weźmie bogatą żonę, ty zaś moja śliczna dziewczeczko jakiego karmazyna, lub wysokiego dygnitarza.

Tak też i pozostało, długi coraz bardziej rosły, gospodarstwo coraz bardziej upadało, ale nazywało się że pani Burska ma wieś, na której syn gospodarzy i do której się na

lato wyjeżdżało. Bogiem a prawdą ciężko to tam było prze-
pędzić te dwa miesiące. W małych ciasnych izdebkach na
pół rozwalonego dworu dusiły się damy, a czeladź śpiąca
po drugiej stronie domu o trzeciej godzinie hałas robiła, ależ
trudno było zostawać w mieście, kiedy wszyscy znajomi pani
Burskiej wyjeżdżali!

Pan Ludwik wszedłszy do skromnego mieszczańskiego
pokoju, po salonach pełnych wykwintnej elegancji w jakich
sam bywał, z lekceważeniem oglądał się, lecz wkrótce przy-
wołał uprzejmy uśmiech na usta, widząc, że gospodarstwo
nie bardzo czują wysoki zaszczyt jaki im swą osobą robi. Pa-
ni Michalina zimna i sztywna jak niegdyś siedziała przy sto-
liku, na którym płonęła duża lampa i szyła coś zawzięcie.
pan domu przechadzał się obojętny, nawet pocziwy pan
Ignacy nie bardzo uprzejmie patrzył na nieproszonego gościa.
Jedna Stasia zdawała się być uradowaną i wszczeła z nim za-
raz ożywioną rozmowę o dawnych znajomych, ciotce Maryi,
kuzynce i t. p. Niezmieszany niczem pan Ludwik odpowia-
dał wesoło, rzucał dowcipami i przypatrywał się swej kuzyn-
ce, którą znachodził, niewiedzieć czy z powodu rozłączenia
czyli też co prawdopodobniej z powodu wymykającego się
mu jej znacznego posagu, dziwnie na korzyść zmienioną.
Na twarzy jego pełnej, zadowolnionej, przebijał się ów wyraz
dobroduszości wpływającej z egoizmu by nikt mu nie psuł
humoru smutkiem lub niezadowolnieniem, a dopuszczającej
bez skrupułów zimnych wyrachowań.

Dziś więcej niż kiedykolwiek przebijała się w jego twa-
rzy owa dobroć, a w obejściu ta łatwość pożycia, chęć ustę-
powania każdemu, byle tylko nie wywołać kwasów w towa-
rzystwie i mile spędzić wieczorek. Stasi obracającej się od
dziewięciu miesięcy wśród ludzi twardych, surowych, mierzą-
cych wszystko pracą i obowiązkiem, dziwnie przypadła do
smaku pospolita postać kuzyna. Tak łatwo mogła z nim ro-
zmawiać, śmiać się tak serdecznie. Nie zastanawiał się on

nigdy głębiej nad życiem, lecz ślizgał się po jego powierzchni spijając jak motyle tylko miód lekkiego użycia i wesołość bez trosk o jutro swoje lub bliźnich! Na wszystko zgadzał się cokolwiek powiedziała Stasia, podnosił oryginalność i świeżość jej myśli, wszystkiem się zachwycił. To też nie dziw, że wieczór ten wydał się jej bardzo krótkim i że nawet nie zauważyła oziębłości i małomówności gospodarzy. Przy pożegnaniu z żywością prosiła go, by nazajutrz przyszedł wcześniej, chciała mu pokazać konia, którego pan Starża jej darował, oraz jak pięknie na nim jeździ. Pan Starża jest bardzo dobry, dodała, uproszę go więc, by ci pożyczył swego wierzchowca i pojedziemy na długą przechadzkę.

Naturalnie że z największą uprzejmością przystał na to kuzynek, po jego więc odejściu Stasia podeszła do swego gospodarza i objawiła mu swe życzenie. Lecz ku swemu wielkiemu zdziwieniu nie odebrała żadnej odpowiedzi, a gdy podniosła oczy spostrzegła niezadowolnienie na twarzy pana Henryka.

— Czy pani sądzisz — zawołał z niezwykłą u niego surowością, że trzymam konie dla błędnych rycerzy udających się po złote runo?

— Błędni rycerze? Cóż to znaczy? wszakże mówię o moim kuzynku!

— I ja także — odpowiedział z sarkastycznym uśmiechem:

— Czy pan może sobie nie życzysz, bym jutro pojechała.

— Nie mam prawa wzbraniania pani — możesz pani jechać dokąd chcesz ze mną lub z Ignacym — zresztą sama ze służącym — gdyż co do pana Ludwika temu nie myślę żadnych grzeczności wyświadczać.

— Więc samej lub z panem pozwalasz pan? Co za łaśka! mam zostawiać Ludwika, który dla mnie tu przybył i jechać na jak długo chcę. Nie! nic z tego nie będzie, jeśli Ludwik nie pojedzie ze mną to i ja zostaje.

— Bardzo dobrze bo i ja na tem skorzystam. Przyznam się że czuję brak jakiś, przyszedłszy do domu i nie zastawszy panią tu na tej małej kanapce, gdzie tak chętnie siadujesz.

— Przyrzekam panu, że mnie zastaniesz, pojedę na go-dzinke, nie więcej, ale pan pozwolisz Ludwikowi konia. Mił-czenie — tak, więc nie zgadzasz się pan? zawołała tym nie-spodzianym uporem rozdrażniona do żywego — nie potrze-buję więc pańskiego konia, możesz go sobie trzymać, a na-wet odebrać i tego, którego mi pan darowałeś.

— Więc tak dalece zależy pani na kuzynie, z którym połączenia odmówiłaś i przed którym prawie z domu ciotki uciekłaś?

— Ja go zawsze jak brata lubiłam, a teraz kiedy jak mi to sam powiedział, i on mnie tylko jako siostrę lubi, cieszę się z jego przyjazdu i towarzystwa.

— O dziecko, dziecko! jak mało znasz ludzi, jak łatwo oszukać cię; czy znasz pani przypowiestkę o wilku co się ubrał w owczą skórę, by łatwiej dostać się do owczarni? — pani masz łzy w oczach — tak więc cię boli moja odmowa?

— Ależ nie, wiem że mi pan ostatecznie nie odmó-wi...

— Omyliła się pani. Mamże tej lalce salonowej uła-twiać zbliżenie się do pani, nie, nigdy; wybuchnął gwałto-wnie.

Stasia nie widziała go nigdy w takim uniesieniu, prze-straszona patrzyła na niego, zapominając o swym gniewie.

— Byłem gwałtowny! nieprawdaż — rzekł zbliżając się do niej, teraz stracę zaufanie pani i kto wie, kiedy je od-zyskam. Lecz wolę to nawet, niż — owe poufałości, śmie-szki i te braterskie zbliżania.

Puściwszy jej rękę nagle wyszedł.

Na drugi dzień Stasia była smutniejszą i nie znajdowała już tyle przyjemności w rozmowie z Ludwikiem, aż dopóki nie nadszedł pan Starża, a wzrok jego i całe obejście nie upe-wniły jej, że zupełnie zapomniał o swym wczorajszym wybu-

chu i nie gniewa się na nią. Wówczas z nowem zajęciem i wesołością zaczęła rozmawiać z kuzynkiem.

Nie jest to tak bardzo dziwnem jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać, iż często wykształcony i niepospolity człowiek bierze za żonę ograniczoną kobietę; lub przeciwnie, rozumna kobieta oddaje swe serce niczem, chyba pięknym krojem tużurka, odznaczającemu się mężczyźnie. Po-spolitość jest czasem wytchnieniem dla umysłów wyższych, i tak jak nie zawsze przemawiają do nas pełne wielkiej i majestatycznej piękności widoki natury, lecz przekładamy czasem cichą w dolinie rozpostartą wioskę, lub chatę oświeconą zachodzącem słońcem, z jej maluczkim codziennie o tej samej porze i w tych samych warunkach powtarzającym się życiem; tak samo szczebiot bezmyślny ładnej buzi, lub lekkie ślizganie się z przedmiotu na przedmiot gładkiego salonowca, może nas chwilowo więcej zająć niż uczone rozprawy lub wyczerpujące omawianie warunków bytu. Często trwato upodobanie tak długo, że wreszcie, klamka zapadnie w postaci kapłana wiążącego stułą dwie ręce, dwa serca, nie stworzone dla siebie, mające w ciągłej walce lub beznadziejnem poddaniu dokonać życia, które może w odmiennych warunkach inaczej byłoby się ukształtowało.

Błądzą podobnie ludzie dojrzałych, cóż dziwnego że Stasia dała się porwać pozorom i mając wesołego towarzysza swych zabaw dziecinnych, tak jej oddanego, tak spełniającego, a nawet uprzedzającego jej życzenia, czuła się wesołą, swobodną i używała z rozkoszą wszelkich drobnych przyjemności, podwyższonych urokiem miłego towarzystwa. Nic nie psuło jej wesołości, pan Henryk podzielał jej zabawy i prawie ich nie opuszczał, o ile mu tylko czas pozwalał całe popołudnia spędzał z niemi, a nawet im towarzyszył na przechadzkach pod promieniami łagodnego marcowego słońca. A choć czasem pogoda się zmieniła i wesołe oblicze nieba zasnuło się szaremi chmurami sypiącemi śniegiem na przemian z deszczem, nie zasępiąło to jej młodzieńczej swobody. Wówczas zbie-

rano się w dobrze ogrzanym pokoju, w którego ścianach co chwila odbrzmiwał srebrzysty śmiech młodej dziewczyny. Prawda, że pan Starża mało wtrącał się do ogólnej rozmowy że spokojny, chociaż cokolwiek bledszy, przeglądał jakie czasopisma, lub zapatrzoney w ogień kominka, zdawał się przysłuchiwać wesołej gawędce młodych. Lecz dla niej wystarczyło, że był, że go widziała, że schwyciła czasem przelotne jego spojrzenie lub uśmiech. Tak upłynęło kilka tygodni, pobyt pana Burskiego coraz się jakoś przedłużał, dowiedział się od Stasi że wkrótce obchodzić będą wesele, pozostał więc aż do dnia owego, by jak mówił pani Michalinie, być świadkiem tego radosnego aktu i dowieść zarazem ile szacunku i sympatyj czuje dla rodziny tak niedawno poznanej.

Pani Michalina, tak była ostatnimi czasy zajęta sobą, narzeczonym, przygotowaniami, iż nie miała czasu na obserwacye, które co prawda nie leżały w jej naturze. I wbrew wszelkiem twierdzeniom, że instynkt kobiecy przeczuć może wszędzie historję miłosną, niczego się nie domyślała, o niczem nie wiedziała.

Stasia biegła w koło gazonu bawiąc się w balona, gdy ujrzała zdaleka zbliżającego się pana Ludwika, porzuciła zabawkę i śpiewając wesoło pobiegła na spotkanie kuzyna.

— Ludwiku patrz co mi dał pan Starża, zawołała — dawno już chciałam grać w krokieta, lecz nie miałam potrzebnych do tego rzeczy, wczoraj zaledwie mu o tem wspomniałam już dziś mi przysłał. Jest wszystko, możemy zaraz grę rozpocząć, Nie jest że on dobry?

— Czemużes mi o tem nie powiedziała, ty mała roztrzępana Stasiu, byłbym z radością spełnił to, co on może poniewolnie uczynił.

— Jakto poniewolnie, a któż go do tego zmuszał?

— Ach, są różne rodzaje przymusu gdy np. przedemną stanie pewna drobna dziewczynka z czarującym spojrzeniem i powie mi: Ludwiku chcę mieć to lub owo, żebym miał świat

cały przewrócić, muszę to spełnić. Nasz gospodarz zaś poddaje się innemu rodzajowi przymusu. Jak wszyscy ci mieszczuchy dorabiający się majątku a wychodzący z niczego, chce naśladować nas szlachtę, przesadza się więc w grzesznościach, w tem co się nazywa *savoir-vivre*—a czego oni nigdy nie pojmą. Otóż pan Starża miałby sobie za grzech śmiertelny niespełnienie życzeń swego gościa za jakiego ciebie uważa, dlatego to o co poprosisz wszystko ci robi, co w tobie zdaje się obudzać nieprzerwane źródło zapału i entuzjazmu dla niego. Lecz minio to droga Stasiu, choć dla mnie jesteś uosobieniem wdzięku, dla niego jesteś zupełnie obojętną.

— Mylisz się Ludwiku.

— Jakto mylę się.

— Tak jest, bo ani ja dla niego, ani on dla mnie obojętnym nie jest. Nie śmiej się choćbyś niewiem jak zaprzeczał temu, zawsze tak utrzymywać będę. Żebyś wiedział ile razy obraziłam go, byłam gwałtowną, nigdy się na mnie nie rozgniewał, a gdym go o przebaczenie prosiła, to mówił, że się na mnie gniewać nie może, naturalnie tak jak i ja na niego.

— Proszę, zkadże ta czułość?

— Nie przyjął że mnie do swego domu nie..

— Stasiu jesteś niesprawiedliwą, wszakże i matka moja cię przyjęła.

— Prawda, ale to była krewna, a to obcy człowiek...

— Tyś mu za to wdzięczna, za co ja go niecierpię, bo gdyby nie jego uprzejmość zbyt pochopna, byłabyś do dzisiaj u nas, a nie wiesz jak po twojem wyjeździe dom mi obrzydł, jak mi w nim pusto! Stasiu widzę, że jesteś zawsze tem samem pocziwem dzieckiem co dawniej, czyż nie spełnisz mej prośby, nie wrócisz pod dach mej matki, która cię prawie więcej, niż swe własne dzieci kocha?

— Nie Ludwiku, nie mogę! ojciec kazał mi po roku załoby tu przybyć i tu pozostać aż do chwili...

— Dopóki nie wybierzesz sobie towarzysza na całe ży-

cie, dozwala ci wybierać samej jak chcesz i kogo chcesz — czyż serce twoje dotąd jeszcze nie przemówiło?

— Ludwiku to zbyt śmiałe pytanie — zawołała zmieszana i zarumieniona.

— Zbyt śmiałe od brata? ach Stasiu dodał ciszej, czyż mam nim na zawsze pozostać?

— Zapominasz o swem przyrzeczeniu.

— Ach moja droga, pamiętam o niem aż nadto dobrze, gdyż mię dużo wysiłku kosztuje. Ty co innego, zawsze swobodna, wesoła, nieznasz co znaczy tęsknota, wszystkie myśli pożerająca, beznadziejne uczucie nie dające spoczynku.

— Jakoś to uczucie nie dużo zabierają ci snu i spoczynku, gdyż wyglądasz jeszcze lepiej niż dawniej zawołało dziewczę ze złośliwym uśmiechem!

— Byłażbyś taką egoistką, by żądać mojej śmierci lub choroby, jako dowodu miłości dla ciebie?

— Miech mnie Bóg uchowa od podobnych życzeń, chcę cię tylko przekonać, że to uczucie nie jest tak wielkiem, jak to wmawiasz w siebie. Pozostańmy kochającym się rodzeństwem, będziesz miał we mnie dobrą siostrę.

— A więc przynajmniej wróć do nas Stasiu, wróć jako siostra, ale nie wzdragaj się dłużej pozbawiać nas swej obecności.

— Nie mogę Ludwiku, nie mogę! Porzucić ten dom, zawołała z mimowolną czułością, patrząc na spokojną wille kąpiącą się w promieniach słońca — panią Michalinę, pocztowego pana Ignacego, a nawet zgryźliwą i zawsze złą na mnie pannę Annę — nie! nie mogłabym tego uczynić!

Na chwilę gniew jak gdyby błyskawica mignął w oku patrzącego na uśmiechniętą i zarumienioną twarzyczkę, lecz zaraz przysłonił ją wyraz czułości i przyciszonym głosem zaczął.

— A więc musimy się rozstać. Pojutrze ślub pani Gockiej, nie mam już dłużej pretekstu bawienia tutaj! Jakże mi smutno będzie bez ciebie moja mała Stasiu!

— Nie mów tak Ludwiku — zawołała — nie mów tak, bo i mnie swym smutkiem zarażasz, razem z tobą znikną dla mnie wszystkie wspomnienia dziecinnych dni przy boku ojca i waszym.

— A więc czemuż nie chcesz jechać ze mną?

— Nie mogę — jakaś niewidzialna siła — zapewne uszanowania woli ojcowskiej, trzyma mnie przykutą do tego domu i otoczenia. Jestem zadowolniona i swobodna widząc cię tutaj, lecz gdybym musiała jechać z tobą i to wszystko utracić, byłoby mi zanadto przykro:

— Ja przecież nie tracę nadziei, że cię odzyskam — odparł z wymuszonym uśmiechem pan Ludwik — prędzej czy później sprzykrzy ci się ta klasztorna cisza, zatęsknisz do rozrywek i gwaru świata, a wtenczas...

— Być może — ale jeszcze nie teraz — zawołała z uśmiechem.

— Chodźcież już państwo do obiadu — ozwała się z niezadowolnieniem pani Michalina idąc naprzeciw rozmawiających, trzy razy was proszono — zawsze nadaremnie!

Nadszedł wreszcie dzień ślubu. Ze względu na bawiące w domu młode dziewczę nie ułożono, żadnej poślubnej podróży — lecz postanowiono po cichym rannym ślubie nic nie zmieniając zabrać się do zwykłych codziennych zatrudnień.

Po obiedzie tego samego dnia przechadzała się Stasia sama jedna po bezlistnych jeszcze alejach rozmarzonym wzrokiem spoglądając w około. Dziwnym wydawał jej się ten ślub cichy, ten dzień tak ważny, a tak niczem nie różniący się od innych. Jej wyobraźnia dziewczęca inaczej go sobie przedstawiała: zdawało jej się, że ludzie, niebiosy, natura cała, powinny brać udział w tej radosnej chwili. Że dom powinno napełniać wesołe pełne oczekiwania krzątanie, drzewa okryć się kwieciami ptaki śpiewać, błękitne niebo błogosławić wszystkiemu, a tu! spojrzała na dom cichy, na bezlistne drze-

wa — tylko niebo spełniało jej marzenie, bo czyste i głębokie rozpościerało nad nią swój jasny błękit, i ptaki odzywały się po trosze, próbując czy nie zagna ich jeszcze do kryjówek śnieżna zawierucha.

Niechaj jak kto chce ślub obchodzi, szepnęła oglądając się, zawsze życie jest piękne. Pan Henryk mnie kocha! Henryk! Czy to tylko nie sen, czy on rzeczywiście mi to mówił czy rzeczywiście jego głębokie oczy patrzyły na mnie z tak wielkiem uczuciem, że i teraz nawet na samo wspomnienie serce mi prędeż bije. Ach on niewie jak go kocham, nie-umiałabym mu nawet określić uczucia przepełniającego me serce lecz pomału, gdy będę z nim na zawsze połączona dowie się o wszystkim. A on sobie nie dowierza, mówi, że za stary dla mnie, że powierzchowność jego jest tak niepozorna. Nie wiem jak się innym wydaje, dla mnie jest uosobieniem szlachetności i siły — i takie odrazu zrobił na mnie wrażenie, odrazu go pokochałam chociaż sama niewiedziałam o tem! — Nierozumiałam co za czary trzymają mnie tutaj, dlaczego wszystko w tym domu jest dla mnie tak miłe. Jak mi dobrze.

Jak to nagle przyszło. Zaledwie Ludwik odszedł, powiedział mi o swej miłości w prostych a tak wzruszających wyrazach!

— Ach Ludwik idzie — muszę mu powiedzieć nie zdradzając mej słodkiej tajemnicy, że do domu jego matki nie wrócę.

— Za godzinę odjeżdżam Stasiu, nie mam słów na oddanie ci mego niepokoju. Raz pocieszam się, że przecież się namyślisz i jeśli nie teraz to później wrócisz do nas, to znowu obawiam się, byś powodowana szlachetnością, nie uważała za obowiązek pozostanie tutaj. Jedno twoje słowo, może położyć koniec temu, czyż ci tak trudno wymówić to słowo przyrzeczenia? w ostatniej naszej rozmowie dałaś mi lekką nadzieję!

— Bardzo mi przykro Ludwiku, że tak zrozumiałeś

mię — powinnam ci była jeszcze więcej stanowczo oświadczyć, tak jak to czynię obecnie, że nigdy do domu twojej matki nie wrócę!

— Nigdy Stasiu?

— Nigdy, wolę ci to odrazu powiedzieć, niż ludzi daremną nadzieją.

— Jeszcze wczoraj nie byłaś tak stanowczą.

— Być może, za to dziś tem więcej nią być muszę.

— Jakaś ty zmieszana! coś w tem jest! czy nie pan Starża przyczynił się do tego! O niepotrzebujesz protestować, znam twój upór, wiem, że prędzej dałabyś sobie rękę uciąć, niż słowo powiedzieć, gdy niechcesz — jednak to nie umniejsza mych podejrzeń. Lecz czy wiesz co to za człowiek? dowadywałem się o nim dobrze i nasłuchiwałem niemało! Czy wiesz, że on podejrzany o socjalizm. Aha błędiesz, drżysz! tak, tak dziś, jutro, może być do więzienia wtrącony twój bohater, a ty sama będziesz świadkiem przeciw niemu; nie mówiłaś mi, że bardzo często i na długo wyjeżdża pan Starża? niewiedzieć dokąd, te słowa z innemi zebranemi dowodami ciężko mogą na szali zaważyć.

— I ty byś te słowa mógł w ten sposób wyzyskać?

— Dlaczegoż nie? socjalista musisz wiedzieć jest to człowiek występny, a każdy prawy obywatel ma sobie za obowiązek ściganie podobnych ludzi. Może się zdarzyć, że po roku więzienia, każą mu się z państwa wynosić z wyraźnem zastrzeżeniem niewracania nigdy — majątek mu konfiskują sklep zwiną — a wtedy ten bohater o wielkich projektach a małym rozumie zostanie nędzarzem, nie mającym spoczynku jak żyd wieczny tułacz.

— Dosyć tego! zawołało drżące dziewczę ciskając pogardliwe spojrzenie na stojącego przed nią z szyderczym uśmiechem człowieka — dosyć tego! Nie znałam cię dotąd, ta chwila dopiero odsłania mi twój charakter — co do twych podejrzeń i obrazów przyszłości, nie wierzę im, to jest tylko zbezasadna złośliwość, chciałeś zburzyć mój spokój — ale nie

udało ci się; powiodło ci się jednak wszelkie uczucie braterskiej miłości wyrwać z mej piersi.

— Stasiu, Stasiu!

— Idź — zawołała odwracając się ze wstrętem, nie chcę cię więcej widzieć.

— Co za czułość! jaka przyjaźń! Czy nie zechcesz w dowód wdzięczności zostać jego żoną!

— Nie mylisz się — odparła z gorącym rumieńcem i pełnem blasku spojrzeniem — jestem już jego szczęśliwą narzeczoną, a wkrótce i żoną!

— Tak więc rzeczy stoją? — daj Boże, byś nie żałowała twej pogardy dla mnie, a przyjaźni dla tego... tego...

O Boże cóżem powiedziała, zawołała Stasia łamiąc ręce, po jego odejściu — na cóżem się zdradziła! on teraz mścić się będzie, ale tak mnie oburzył, nie byłam panią siebie — A jeśli to prawda co on powiedział? O Boże strzeż Henryka.

Odwróciła się na odgłos szybkich kroków!

— Michalina mi mówi, żeś pani od godziny w ogrodzie, zawołał stanawszy przy niej, a to dopiero marzec, nie zimno pani, chodź do pokoju moje dziecko — cóż to łzy—łzy gdy ja taki szczęśliwy? — miałażbyś pani żałować?

— Nie, nie to tylko Ludwik!

— A więc za nim! rzekł puszczając jej ręce, które pierwszej pochwycił w namiętnym niepokoju — jakże czułe musiało być pożegnanie — no dzięki Bogu przecież odjechał.

— I pan dokuczasz i pan mię niepokoisz, o to bardzo pięknie!

— Ja moja słodka, mała Stasiu! ja który pragnę zasłać ci drogę kwiatami, a wszystkie gorycze i ciernie życia wziąć dla siebie... Ale ten Ludwik! nie wiesz pani ile przecierpiałem przez niego.

— Pan? i dlaczegoż to?

— Raz w twojej naiwności i dziecięcej czystości pytałaś mię co to jest zazdrość, teraz ci powiem. Jestto hydra, która się w piersiach gnieździ a mózg zaciemnia; ty pierwszą dałaś mi ją poznać!

— Mój Boże jakiż żal musisz pan mieć do mnie!

— Ja do ciebie? — ale powiedzże mi dla czegoś płakała?

— Wyobraź pan sobie, ten niedobry Ludwik, którego więcej widzieć nie chcę, powiedział żeś pan socyalista i że la-da chwila wezmą pana do więzienia.

— Śmieszne przypuszczenie, nie jestem nim i nigdy nie byłem.

— Pan to tak spokojnie bierzesz!

— Tylko obawa zmiany uczuć mojej Stasi może mnie zaniepokoić zresztą nic.

— Ale czyż nie pojmujesz pan, że mnie to trwoży, odbiera swobodę i wesołość.

— Cóż więc mam robić, by ci je przywrócić nic dla mnie trudnego nie będzie,

— Powiedz pan, gdzie tak często wyjeżdżasz.

— Do wioski L. którą kupilem i gdzie mam fabrykę, o tem wie Ignacy i Michalina.

— A mnie nigdy nic nie mówili.

— Bo uważali to za rzecz zbyt małej wagi.

— Rzecz małej wagi, gdzie pan przebywasz? i co robisz a dla mnie wiadomość ta zawiera wszystko, co może uszczęśliwić i uspokoić człowieka.

— O moja ukochana, jakaż atmosfera szczęścia otacza mnie, Stasiu powtórz mi jeszcze raz, kochasz mnie? chcesz dzielić życie ze mną?

— Z panem — tylko z panem! odpowiedziała wzruszona dodając ciszej, kocham pana.

— Teraz nikomu cię nie oddam, nikomu, choćby się ziemia i niebo sprzysięgły przeciw mnie.

W ten sam dzień marcowy w karczmie wiejskiej w L. siedziało kilku gospodarzy.

— Dziedzic nowy, coraz inne nowacyje wprowadza — zaczął jeden; już nam niewolno za własny grosz wypić gorzałki piwa nam dają, człek do tego nieprzyzwyczajony, gorzkie to a niesmaczne! a tu przednowek ciężki jak ludzie nie pamiętają, prawda, że rządca pomaga! Ale co to, czyż nam nie mówił dawny nauczyciel, którego także wypędzili, że gdybyśmy tylko chcieli, wszystkie te grunta, las, a nawet dwór do nas by należał,

— Prawda, tak mówił.

— Dobry to był człek — wypił w karczmie i pogawędził jak się patrzy; ten to już niby dumniejszy — teraz już się z gromadą oswaja, ale z początku takie to było pyszne, że ani słowa wyciągnąć z niego.

— Czy wiecie nowinę — zawołał wchodzący robotnik od drugiego tygodnia zmniejszył nam pan w fabryce zapłatę, a bodaj czy nie stanie całkiem — dyrektor mówił, że się nie opłaca.

— A ba! toć to przednowek, jeszcze ta fabryka człowieka ratowała, bez niej to chyba ziemię gryźć.

— Dalibyście pokój, pan pomaga na wsze strony i ze spichrza gromadzkiego daje i zapłatę naprzód. Takiej nędzy niema jak bywało.

— Toż coraz lepiej powinno być na świecie — słyszę niemcy rozdziela wszystkie bogactwa między biednych ludzi i już panów nie będzie. A gdy który człek straci to i tak nie zginie, bo mu znowu wydziela. Oni to nazywają spółką; ta spółka to wszystko może; ja sobie nieraz myślę czyby się do niej nie udać, bo u nas co? ot wcoraj zlicytowali chatę Wal-kowi, a teraz musi iść w komorne.

— Dobrze pan zrobił, że mu niepomógł, ten pijak przepuściłby znowu wszystko — a sam jeden, czy to ma żonę, czy dzieci? nie naje się biedy, chyba że na gorzałkę nie będzie. Okrutnie się odgrażał na naszego pana, mówił, że wie

coś takiego, co go na żebraka sprowadzi, takiego samego jakim jest Walek.

— O, o! psie głosy nie idą pod niebiosy panisko dobry, a wszystko odrazu poprawić nie można.

— O czymże to tak rozprawiacie, zapytał wchodzący nauczyciel, znany nam pan Skiba.

— Mówią ludzie — odparł malkontent robiąc obok siebie miejsce panu nauczycielowi, że fabryka ustanie — a ja powiadam, że to by było wielkie nieszczęście dla nas i dla pa-
na — jak myślicie panie profesorze, ustanie czy nie?

— Zdaje mi się, że zamkną, bo na granicy tak podrożyli cło, że niepodobna ten interes prowadzić.

— O psiawiary!

— Oj źle, źle, co to za czasy.

W kilka dni później zafrasowany dyrektor fabryki stał przed świeżo przybyłym panem Starżą.

— Nie wytrzymamy dłużej — mówił pokazując rachunki — dawno już trzeba było to zrobić, o co pana dziś ponownie proszę. Na granicy pruskiej cło z półtora talara odpuda na trzy, a więc jeszcze raz tyle. W takim razie sprowadzenie na pół surowego materiału z jakiego wyrabiamy tekturowe dachy więcej kosztuje niż gotowy towar. Nie możemy w żaden sposób konkurencyi wytrzymać. Z królestwa cofnięto zamówienia, jeśli pan dalej będziesz się opierał zamknięciu, większą część a może wszystkie zaszczytne pańskie ta fabryka pochłonie, bo jak pan widzi z rachunków są ciężkie straty.

— Widzę, konieczność tego, a jednak nie mogę się zdecydować! Cóż się stanie z tymi ludźmi jest ich przeszło stu, gdzieś pójdą, taki ciężki przednówek, żebyż to jeszcze nasi, dla tych zawsze znajdę zatrudnienie, ale większa część jest z przyległych okolic, nawet z miasta — wstrzymajmy się jeszcze miesiąc.

— Miesiąc? Patrz pan co każdy dzień kosztuje, nie wolisz że pan, te pieniądze użyteczniej obrócić?

— A więc niech tak będzie — przy końcu drugiego tygodnia nastąpi ostateczny obrachunek i zamknięcie. Sam przyjadę i uspokoję ludzi, do tego zaś czasu niech pracują jak dotąd!

— Albo raczej niech pobierają za darmo pieniądze!

— Powróciłeś pan przecież! zawołała Stasia wybiegając aż do bramy naprzeciw pana Starzy — jak że się cieszę!

Nie potrzebowała tego mówić, radość objawiała się w każdym jej poruszeniu; tryssała z oczu, promieniła na twarzy. Pan Starża był poważniejszy niż zwykle, lecz na widok tej ukochanej twarzyczki uśmiechnął się, a biorąc jej rączki rzekł z czułością:

— Nie więcej odemnie, tęskniłem za wami.

— Tęsknisz pan, a wyjeżdżasz tak często, bawisz tak długo!

— Tym razem nie zasługuję na ten zarzut dwa dni tylko byłem nieobecny.

— Ale policz pan wiele w tych dwóch dniach było godzin i minut!

— Czy już i pani zaczynasz rachować! — nie idźmy jeszcze do domu, rzekł do Stasi, wieczór tak piękny, przejdziemy się po ogrodzie! Cóżes tu pani robiła ten cały długi dzień wczorajszy?

— Cały czas siedziałam w domu, bo pogoda się zmieniła, w wieczór udałam się wcześniej na spoczynek, wiatr huczał jak gdyby w jesieni, byłam niespokojną i nieszczęśliwą.

— Spodziewam się, że jedno i drugie minęło!

— Niezupełnie! czuję dziwną trwożę — patrzę na pana, dotykam go, a jednak zdaje mi się, że się wkrótce rozpułniesz, że znikniesz.

— Jesteś nerwową dzisiaj, rozdrażnioną!

— Nie! to nie nerwy! miałam sen okropny, wołałam pa-

na, nie odzywałeś się, szukałam a znaleźć go nie mogłam, zdawało mi się, że wielkie, niezmierzone przestrzenie oddzielają mnie od pana, gdzie głos mój ginie a postać do pyłku maleje.

— Był to sen tylko! po dniu samotnym, chmurnym, wywierającym przykre wrażenie na twój delikatny organizm, był on naturalnym. Stasiu moja! nie mogę ci okazać całej mej miłości, nie mogę wytrącać z równowagi twego umysłu, lecz zawsze liczę na moją miłość, cokolwiek spotka cię w życiu, jakiekolwiek walki cię czekają, ona jedna nigdy cię nie zawiedzie!

— Wierzę, a jednak nie mogę pozbyć się dziwnego smutku.

— Uspokój się! wszystkie te mądry pierzchną, gdy na zawsze zostaniesz już moja. Dlaczegoż odwlekać to szczęście nie w maju ale za tydzień połączy nas ręka kapłana — wszakże się zgadza na to moja pani?

— Na wszystko co pan chcesz — tylko nie odjeżdżaj już więcej.

— Jeszcze raz tylko wyjadę na krótko, by potem już ani na chwilę nie opuścić mej Stasi.

— Znowu! czyż nie możesz pan wziąć mnie przynajmniej ze sobą?

— Nie mogę tym razem, będzie to burzliwa przeprawa, a niechcę, byś tego świadkiem była.

— Cóż tam będzie, rozprawa jaka?

— Nie! tylko zamknięcie fabryki.

— Czy grozi panu jakie niebezpieczeństwo?

— Najmniejsze romantyczna główka.

— A więc dzięki Bogu! jednak nie uspokoje się wprzód, aż pana z powrotem zobaczę — kiedyż pan wyjeżdżasz?

— To dopiero egoistka, zaledwie przyjechałem już mnie znowu wyprawia.

— Powiedz pan, kiedy?

— W tym tygodniu w sobotę.

— Dziś dopiero mamy wtorek.

— Czy widział kto coś podobnego! i to się nie wstydzi to uparte małe stworzenie być tak szczerą!

— O gdyby już była niedziela, bo w niedzielę pan wróciś, nieprawdaż?

— Tak jest i to by nazwać Stasię moją. Ja niewiem jak zniosę to szczęście, sama myśl o niem sprawia mi zawrót głowy i wzmacnia bicie serca.

— Więc naprawdę masz mnie pan za coś tak szczególnego?

— Naprawdę! widzi pani mam taki zepsuty gust?

— Obyś pan nigdy nie poznał, że tak jest rzeczywiście.

— Cieszę się, że tak mało masz próżności i poprzestaniesz na zawróceniu głowy swojemu mężowi — inni będą ci obojętni!

— Ale przygotuj się pan, że potrafię dobrze dokuczyć biednemu mężowi — przedewszystkiem musi mnie bardzo kochać.

— Spełniać jej wszystkie zlecenia, prowadzić na bale, dorzucił żartobliwie Starża. A zrzekłabyś się pani, gdybym Cię o to prosił?

— Z pewnością! nieznam wcale tej przyjemności.

— Biedną dziecię! bardzo mało przyjemności zaznałaś w twojem krótkiem życiu! Lecz teraz będzie inaczej, teraz, gdy ja będę czuwać nad twem szczęściem. W lecie będziemy robić wycieczki po kraju, wszędzie gdzie ja byłem musi przejść i stopka mej Stasi — czem ja się zachwycam i te duże ciekawe oczy muszą oglądać! Jakże będę szczęśliwy tłumacząc to wszystko takiemu dziecku jakim ty jesteś. Gdy już zwiedzimy kraj własny, zawiozę cię pod głębokie niebo Italij, w promieniach tego gorącego słońca będziemy snuć dalej cudną nić sielanki zaczęta w starym domku skromnego mieszczanina.

— Ach nie, nie! to szczęście jest za wielkie, czemże zasłużyłam na nie? żadnych walk nie przebywałam, żadnych zawodów ani boleści o których wszyscy mówią. Pokochałam

pana i prędzej niż się spodziewać mogłam odwzajemniłeś mi to miłością stokroć lepszą, szlachetniejszą. Wszystkie marzenia moje spełniają się, smutki zdają się mnie unikać!

Najcudowniejszy dzień wiosenny powitał nazajutrz otwierające się ze snu oczy Stasi, lecz nie wyskoczyła jak zwykle z łóżeczka by otworzywszy okno napawać się balsamicznym powietrzem. Jak gdyby senna jeszcze wodziła żdziwionem i niedowierzającym okiem po swym pokoiku — nie umiała sobie tego wytłomaczyć. Nagie jeszcze wczoraj ściany obite różowo, różowe aksamitowe zgrabne mebelki zastąpiły dawne ciężkie krzesła, gruby dywan zaścierał podłogę, sypialnia zaś jej pływała cała w zwojach białego batystu przepinanego gdzie nie gdzie polnemi różami do złudzenia naturę naśladowcami.

— Nie! to czary zawołała, wszakże wczoraj wieczór nie było nic z tego wszystkiego; prawda, żem poszła spać bez światła, a pani Michalina radziła mi to z natarczywością, która mnie żdziwiła — ach wszak to dziś moje imieniny, teraz rozumiem wszystko! A ubrawszy się szybko, zbiegła na dół.

W sali jadalnej zatopiony w dziennikach siedział pan Starża podeszła cicho, a zakrywając mu oczy zawołała.

— Zgadnij pan kto to?

— Któż jeśli nie nasza mała solenizantka — chodź pani, niechaj jej ze wszelkimi formami powinszuję.

— Jaki pan dobry!

— Za to że chcę pani winszować?

— Nie pan wiesz dla czego. Nie cenię w tem tyle kosztów, które poniosłeś, jak to, że dla mnie odstąpiłeś od swych zasad, bo wiem, że pan nie lubisz nowoczesnego zbytku i nieraz go siostrze odmawiałeś.

— Nie chwał mię za to więcej, niż zasługuję moja słodka Stasiu! Łatwo to odmówić siostrze, ale Tobie moja jedyna — to trudno.

— Ach mój panie, czem ja się mu za to wszystko odwdzięczę?

— Kochając mnie na wzajem!

— O to tak łatwo! ale coś bym chciała innego, trudniejszego!

— A więc być szczęśliwą i spokojną,

— I to wypełniam, gdy jestem z panem.

— Ale bezemnie.

— Tego niepotrafię.

— Nie! i ja tego nie żądam jestem takim samolubem, że milej mi pomyśleć, że za mną tęsknisz, chociaż cierpisz przez to, niż żebyś to znosiła z filozoficznym spokojem jak Michalina n. p.

— O i pani Michalina tęskni za panem Szadenem—bo widzi pan, zawsze się kocha więcej niż wszystkich...

— Kogo dokończ przecież...

— Męża, rzekła płoniąc się.

— O drogie moje dziecko, za młodą jesteś, byś poznała le jest upajającej słodczy w tych słowach.

* * *

Głuche wieści o zamknięciu fabryki coraz więcej nabierały prawdopodobieństwa!

W ostatni dzień tygodnia od rana tłumy robotników i chłopów otaczały budynek, gdy bryczka zaturkotała, a z niej wysiadł pan Starża. Wszedł na ganek i zamtąd spojrzął na tych stu kilkudziesięciu ludzi gotowych zda się do wszystkiego.

— Widzę, że już wiecie — zaczął donośnym i spokojnym głosem — o smutnej konieczności zmuszającej mnie do zamknięcia fabryki. Zakładając ją miałem najpiękniejsze nadzieje, lecz wysokie podatki, podniesione na granicy cło, nie pozwalają mi dalej rozpoczętego dzieła prowadzić. Utrzymując ją nadal byłbym szalonym i trwonilbym pieniądze bez pożytku dla was i dla kraju. Od początku dążeniem mojem było umniejszyć podatki ciążące nad ubogimi, a tem samem

poprawić wasz dobrobyt, lecz to się nie uzyska odrazu! Dziś te podatki i mnie przyprowadzają do odprawienia was, lecz nie na długo! na miejsce tej stanie inna lepiej opłacająca się fabryka, wtedy was wszystkich znowu zawezwę, do tego zaś czasu bądźcie spokojni — osobiście, że wszelkie są nadzieje że rok zbliżający się nie będzie tak ciężkim jak miniony.

Głuche milczenie zapanowało, a potem szmer niewyraźny:

— Dobrze mu gadać, kiedy głodu nie cierpi.

— Najprzód nas zwabił, pościagał z kąd inąd wysoką zapłatą a teraz wypędza!

— Nie damy się zbyć ni tem ni owem.

— Kiedyś stanie inna, a do tego czasu co?

Wzrastały złowrogie szemrania.

— Idźcie ludzie, idźcie do domu, rzekł teraz dyrektor, pan wam to wynadgrodzi — rozejdźcie się.

— Prędzej my mu wynadgrodzimy.

— Tyle już zrobił dla was nie opuści was i nadał.

— Niechaj nas gdzieindziej umieści, nam jedno gdzie byleśmy mieli tę samą zapłatę.

— Bądźcież rozumniejsi, gdzież tylu was naraz umieścić, z czasem to się robi — wielu tu jest nie naszych.

— Owa nie naszych — a czyśmy to nie ludzie, czyśmy nie głodni, czy nie mamy także żonę i dzieci co o chleb wołają!

— Bogacz o — niby to dobry — a zawsze taki z niego szydło wyłazi.

— Precz z bogaczami.

— Do nas, do biednych wszystko należy!

— Dobry a ludzi licytować pozwala — ozwał się ze środka głos ochrypły — ej pomścijmy się chłopcy — niechaj skosztuje co bieda znaczy.

Mimo wszystkich owych pogroźek tłum się pomału przerzedzał, ku wieczorowi nikogo już nie było.

Pan Starża zatopiony w rachunkach, w sprawdzaniu

ksiąg, a spiesząc się, by jak najprędzej ukończyć wszystko, nie odetchnął na chwilę do późnej nocy! wreszcie legł znużony w mieszkaniu dyrektora w tym samym co fabryka budynku.

— Kto wie rzekł do udającego się do dworu dyrektora, czy jutro nie powtórzy się dzisiejsze zebranie, przynajmniej noc mamy spokojną!

— Ja myślę, że i jutro dadzą spokój widząc, że nic nie wskórają.

Fabryka leżała za wsią blisko drogi na czystym polu strzeżona przez kilku nocnych stróżów. Dzisiaj wracającemu już późną nocą z pobliskiego miasteczka nauczycielowi wydała się bardzo jasno oświeconą.

Cóż u dyabła — zawołał, mieli dziś zamknąć z tego względu umyślnie się oddaliłem, by słysząc wyrzekania ludzi nie posunąć się dalej jak potrzeba — a tu widzę jeszcze teraz pracują — ale ba to nie ogień w piecach tak błyszczy. Podpalili jak Boga kocham, ej mniejsza z tem i tak była do niczego, a taki pan Starża czy będzie uboższy o kilkanaście tysięcy, czy bogatszy nie wiele go to obchodzi. Przyznaje się niby do naszych a swoim kunktatorstwem wszędzie zapory stawia.

Ależ to ogień co się zowie! Spodziewam się, że nikogo tam niema, robotnicy wiem, że nie nocują, zresztą dziś uprzątnęli wszystko, dyrektor we dworze wraz ze Starżą.

Wśród ciszy słyhać było trzaskanie ognia, — ale teraz nny jeszcze odgłos domieszał się do tego, odgłos kilku kopyt końskich lecących w szalonym biegu.

— Ustępuj kto żyw — usłyszał głos dyrektora, fabryka płonie a pryncypał tam został.

— Starża!—tam!—a ja tak długo stałem beczynn timer — zabierzcie i mnie, zabierzcie, wołał Skiba.

— Idź sam do dyabła, nie mogłeś dać znać!

— To dzielny człowiek! i ona go kocha, on niepowinien zginąć, mruknął nauczyciel. Prawie na równi z końmi był i Skiba na miejscu — cały budynek stał w ogniu, nigdzie wyjścia, kilka okien na piętrze stało jeszcze nie uszkodzonych!

Wszystko przepadło! szepnął dyrektor załamując ręce podczas, gdy przybyli ludzie brali się do gaszenia dosyć niechętnie.

— Co tu pomoże — musi cały spłonąć — a wieś bezpieczna, bo to daleko.

— Drabiny, drabiny — zawołał ochryply głos nauczyciela — on musi leżeć od dymu omdlały — ale może jeszcze żyje!

— Szalony! patrz lada chwila dach runie już niema ratunku!

— To i ja z nim razem zginę — bom i ja winien jego śmierci — drabiny!

Z przerażeniem zanim mogli przeszkodzić temu, ujrżeli obecni wstępującego między płomienie — lecz zanim jeszcze zginął im z oczu, zatrzęsł się budynek i z ogromnym hukiem dach się zapadł.

Obecni zamilkli z przerażenia i zgrozy, a patrząc w płonący ogień i miejsce, gdzie zniknął nauczyciel nie spostrzegli, iż z drugiej strony palącej się fabryki kilku chłopów starannie nieśli ciało omdłone widocznie. Dopiero po chwili pogłoska że „pan“ uratowany wzruszyła obecnych i gromadą posunęli się do widniejącej grupy ludzi.

Pan Starża dzięki odwadze kilku włościanom ze swej wsi, którzy bocznem wejściem wdarli się do fabryki — zawdzięczał życie. Oni to uratowali nieprzytomnego i wpół dymem uduszonego Starżę i wynieśli w bezpieczne miejsce.

Przedednie osobistego szczęścia Starży i powodzenia jego działalności społecznej, zagrożone śmiertelną katastrofą, minęło szczęśliwie dzięki chłopom. To też niezrażony Starża prowadzi dalej swą pracę.

I dziś we wsi L. fabryka wre życiem i daje utrzymanie setkom robotnikom, gdyż nauczony doświadczeniem nie stwarza on filantropijnych fabryk, ale oparte na gruncie zaobopólnych korzyści. Pomaga mu dzielnie pani Stanisława Starżowa niepoprawna w swych popędach entuzjastycznych; szkółki i przytułki zostają pod jej wyłączną opieką zaś na czynione jej uwagi odpowiada: „pomoc biednym a niezara-
dnym nie jest dobrodziejstwem, lecz obowiązkiem!“

K O N I E C.



SAKTYWNE REZERWISTWA

KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



521755

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

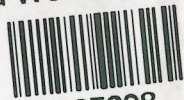
KRAKOWIE
WY Kt. 35-027
lawkowska 10
26

1

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

152509LP

Biblioteka WSP Kielce



0227298